



GRYF₁

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

Styczeń – 1983



Pejzaże...

na szarym bruku ulicy
pod oknem mojej zielonej kamienicy
leży coś co wczoraj było ptakiem
spłaszczony profil ptaka
i tylko sztucznie spod tułowia
jakby niezdarnie przylepiona
wystaje... łapa

...kiedy szukałem wątku poematu
kłaśnięciem niecierpliwej dłoni
zabiłem komara
uległ przemocy poety
który roztkliwiał się nad przejechaną jaskółką

czekam na ciszę
na ukojenie
czekam
aż słońce zajdzie za ziemię
czekam aż zgasną światła naprzeciwno
i zmilknie turkot wozu
zostaną czarnych koronek
ornamenty zmyślne
haftowanego liścia na perłowym niebie
wydarte z ciemności letnią błyskawicą...

nie słyhać żab ni cykad ni słowików
pustą ścieżką wraca kulawy pastuch...

oparty o masyw wieży — przymknąwszy powieki
wrastam w omszałe mury
przede mną park człuchowski leży
drzemią wieki
na mrocznym niebie
kabalistyczne znaki — gacki milcząco kreślą
w gałęziach
senne ptaki śnią
pieśnią
w otwartych oknach szary świt
pod powiekami noc jasna...
i nie wiem czy wróciłem już ze snu
...czy jeszcze zasną..:

WACŁAW JAN WŁODARCZYK

(poeta od wielu lat mieszka w Człuchowie. Opublikował
arkusz wierszy „Świat empirycznie” — Wyd. Poznańskie
1963 r.)

GRYF



WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

SŁUPSK

STYCZEŃ 1983

ROK II Nr 3

Na miarę dnia dzisiejszego

MGU w tradycji i współczesności Kraju Rad

Towarzystwo Czluchowskich miłośników

Teatr pokętny

Kluby

Reformacji blaski i cienie

Muzyczne barwy i cienie

Wyznanie Św. Samuela B.

25 lat...

— Jerzy Lissowski

— Magdalena L. Lissowska

— Edmund Kloskowski

— Stanisław Miedziewski

— Bogusław Matuszkiewicz

— Urszula Mączka

— Marian Łucki

— Andrzej Turczyński

— Dyżurny

Projekt okładki, (grafika str 16—17) — Zbigniew Ignacy Januszewski

Zdjęcia w numerze — Jan Maziejuk

Wydaje: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże”. Współwydawcy — Wojewódzki Dom Kultury, Kuratorium Oświaty i Wychowania. Adres redakcji: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofska 1, tel. 38-05, 83-13. Kolegium Redacyjne: Leszek Bakuła, Kazimierz Kurowski — st. wizytator KOiW, Jerzy Lissowski wiceprezes Zarządu Głównego SSK „Pobrzeże” — przewodniczący, Leszek Masiukiewicz — członek Prezydium ZG SSK „Pobrzeże”, Zenon Sobecki — czł. Prez. ZG SSK „Pobrzeże”, Kazimierz Świdorski — dyr. Wydż.

Zespół redakcyjny — Jerzy Dąbrowa-Januszewski — redaktor odpowiedzialny tel. 75-91, Zbigniew Ignacy Januszewski — współpraca graficzna, Zofia Kubiak-Krzesińska — opr. techn., Anna Skotnicka — korekta, Andrzej Turczyński.

Warunki prenumeraty: kwartalna — 45 zł, półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. Wpłaty od jednostek gospodarki uspołecznionej, instytucji, organizacji przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspedycje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach, w których nie działają placówki RSW — urzędy pocztowe. Nabywcy indywidualni opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych. Nr indeksu A-8. Druk: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 1000 egz., format B-5. Zam. nr 3306.

Cena 15 zł

Na miarę dnia dzisiejszego

Rozmowa z sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR
tow. Miroslawem Kondratem



* Nadal odczuwamy skutki głębokiego kryzysu społeczno-politycznego i moralnego, spowodowanego odejściem od marksistowskiej oceny zjawisk społeczno-gospodarczych, naruszaniem leninowskich norm życia wewnątrzpartyjnego, niedocenianiem roli i znaczenia działalności ideowo-wychowawczej partii...

— Na IX Zjeździe PZPR dokonano analizy przyczyn zaistniałego kryzysu oraz błędów i wypaczeń poprzedniego kierownictwa partyjnego i państwowego, które doprowadziły do powstania kryzysowej sytuacji. W przyjętej uchwale wskazano sposoby wyprowadzenia kraju z impasu, stwierdzono, że fundamentalnym warunkiem socjalistycznej odnowy naszego życia jest odrodzenie się partii na gruncie ideowych pryncypiów marksizmu-leninizmu, przywrócenie jej zaufania mas, zwłaszcza klasy robotniczej.

* Uchwała IX Zjazdu zawierała też szereg konstatacji dotyczących kultury i sztuki oraz oświaty i nauki. Określono je jako znaczący czynnik sprawczy rozwoju socjalizmu, Kul-

ture nazwano modelem i stylem życia duchowego narodu, źródłem motywacji działań służących dobru jednostki i społeczeństwa...

— Zasadniczą miarę rozwoju kultury społeczeństwa stanowi — moim zdaniem — zasięg intensywności i jakości uczestnictwa mas pracujących w jej odbiorze i tworzeniu. Zwiększenie udziału ludzi pracy w korzystaniu z dóbr kultury narodowej i światowej wymaga wyeliminowania lub przynajmniej poważnego zniwelowania rozlicznych barier, przede wszystkim percepcyjnych i materialnych. Sprawą partii jest orientowanie swej polityki w sferze kultury i sztuki pod kątem wcielenia w życie idei sprawiedliwości społecznej; bardziej zdecydowane przeciwstawianie się przejawom partykularyzmu niektórych kręgów środowisk kulturalnych i artystycznych, walka o pouczenie służebności tych środowisk wobec narodu, szerokich rzesz klasy robotniczej.

* *Wkraczamy w okres szybkich, permanentnych zmian, dużej mobilności zachodzących procesów i zjawisk, co wymagać będzie od władzy ogromnej konsekwencji a zarazem zrozumienia kłopotów w tej dziedzinie działalności...*

— Sytuacja społeczno-polityczna w środowiskach kulturalnych — tniemo wyraźnie postępującej stabilizacji — jest złożona. Nic nie wskazuje też na to, by w niedługim czasie uległy dostrzegalnej poprawie warunki materialno-organizacyjne kultury. Wzrosły nieopóźnienie ceny wszystkich bez wyjątku dóbr i usług kulturalnych. Pogorszyły się, i to poważnie, warunki finansowe wykonywania zawodów twórczych. Nie da się tego, niestety, „przeskoczyć” w krótkim czasie.

* *Niezbyt zachęcające prognozy...*

— To nie prognozy, lecz status quo! Skoro już o prognozach mówimy. Są one — wbrew pozorom — optymistyczne. Uruchomiony zostanie fundusz rozwoju kultury. Wkrótce winna być uchwalona ustawa o upowszechnianiu kultury oraz o prawach i obowiąz-

kach pracowników służb upowszechnieniowych. Nie sposób przecenić znaczenia tego dokumentu. Powinien on stać się znaczącym czynnikiem mobilizacji i integracji działaczy i pracowników upowszechniania kultury wokół polityki kulturalno-oświatowej państwa. Ustawa zapewni — jestem o tym przekonany — wszechstronny rozwój kultury narodowej oraz warunki tworzenia, zachowania i ochrony dóbr kulturalnych. Ustawa wyznacza wreszcie właściwą rolę regionalnemu ruchowi społeczno-kulturalnemu i amatorskiemu ruchowi artystycznemu, uznając jego animatorów za współtwórców życia kulturalnego. To nie tylko ważne, ale i absolutnie nowe zapisy w naszym ustawodawstwie.

* Wynikają z tego jasno zarysowujące się zadania dla współrealizatorów pracy upowszechnieniowej. Jakże z nich uważa Towarzysz Sekretarz za pierwszoplanowe, najpilniejsze...

— O kształcie i treści życia kulturalnego Polski i Polaków w latach 1982/83 i następnych zadecyduje przede wszystkim możliwe najszersze spopularyzowanie tych dzieł polskich twórców, które niosą w sobie przesłania wartości estetycznych i ideowych, niezbędnych dla prawidłowego kształtowania się kultury socjalistycznej.

Wyraźniej niż dotychczas należy zaakcentować społeczną obecność takich nowych dzieł sztuki, które współtworzą socjalistyczną świadomość narodu, odważnie i krytycznie podejmują problematykę historyczną i współczesną. Musimy stosować przemyślaną politykę wyboru, wspierając formowanie pożądanych przekonań i postaw obywateli, szczególnie dzieci i młodzieży.

Ważną rolę w kształtowaniu naszego życia kulturalnego powinno odgrywać intensywniejsze propagowanie dorobku bratnich krajów socjalistycznych, zwłaszcza Związku Radzieckiego, w dziedzinie kultury i sztuki. Wiąże się z tym oczywiście zwiększenie współpracy i wymiany kulturalnej z państwami naszego obozu.

* A gdyby przełożyć to na język programowych zadań placówek upowszechniania kultury?

— Będzie to, po pierwsze: umacnianie i pogłębianie ideowo-wychowawczych funkcji kultury. Zgodnie z wytycznymi IX Nadzwy-

czajnego Zjazdu Partii i IX Plenum KC PZPR — główny wysiłek organizatorów, animatorów i twórców kultury winien być skierowany na zaspokajanie potrzeb i aspiracji kulturalnych klasy robotniczej, mieszkańców wsi oraz dzieci i młodzieży.

Po drugie: zapewnienie wszechstronnego i efektywnego uczestnictwa dzieci i młodzieży w kulturze. Obligują do tego dokumenty programowe pn. „Wniosków ministra kultury i sztuki oraz ministra oświaty i wychowania, dotyczących dostępu do kultury i uczestnictwa w niej dzieci i młodzieży”.

W tej działalności niezbędna jest pomoc ze strony placówek kulturalnych w organizacji zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych w wolne od nauki soboty, upowszechnianie idei „szkoły otwartej” (na razie niezbyt popularnej w Słupsku), podejmującej pracę kulturalno-oświatową o zasięgu środowiskowym.

Po trzecie: upowszechnianie kultury na wsi opieka nad kulturą i sztuką ludową. Chodzi tu — krótko mówiąc — o nieustanny rozwój kultury w środowisku wiejskim, usuwanie narosłych dysproporcji, zaniedbań, takie sterowanie rozwojem sieci terenowych placówek upowszechniania kultury, aby region był nimi w miarę równomiernie nasycony i by zostały zlikwidowane białe plamy, poprawa stanu istniejącej bazy oraz standardu wyposażenia domów kultury, klubów i świetlic, zapewnienie — przy uwzględnieniu wszystkich znanych trudności, ograniczeń i przeszkód — niezbędnych środków umożliwiających nie tylko „przetrwanie”, lecz również rozwój wiejskich zespołów amatorskich, organizowania na wsi starannie przygotowanych cyklicznych spotkań z przedstawicielami naszych środowisk twórczych pod umownym hasłem wywoławczym: „Rozmowy o sztuce”.

Po czwarte: praca kulturalno-wychowawcza wśród załóg robotniczych. W związku z obostrzeniami finansowymi powstałymi od momentu wprowadzenia zasad reformy gospodarczej należałoby się zastanowić, czy nie powrócić do dawnej koncepcji tworzenia placówek kulturalnych — międzyzakładowych. Widzę tu pilną potrzebę dokonania szczegółowej analizy potrzeb środowisk robotniczych w dziedzinie kultury, opracowania — na podstawie sporządzonego bilansu potrzeb — programów i planów działania na bliższą i dalszą przyszłość. Kolejny etap to energiczne,

konsekwentne wdrażanie tych programów i planów w życie.

* *Zadania Stowarzyszenia, towarzystw regionalnych...*?

— Rysują się na tyle wyraziście, że nie ma chyba sensu wracać do tematu omawianego m. in. na łamach „Gryfa” — nr 1—2. Ze swej strony chciałbym życzyć aktywności społeczno-kulturalnemu powodzenia w realizacji ambitnych zamierzeń wynikających z uchwały II Walnego Zjazdu SSK „Pobrzeże” oraz własnych inicjatyw Prezydium Zarządu Głównego i poszczególnych towarzystw. Ruch

społeczno-kulturalny może zawsze liczyć na naszą pomoc i wsparcie. To nasz obowiązek. Nigdy tej pomocy „Pobrzeżu” i towarzystwom nie szczędzono.

* Nas, nasz aktyw — pomoc i życzliwość władz partyjnych, administracyjnych oraz licznych instytucji i organizacji obciąża do rzetelnej i wyteźnionej pracy na rzecz wszystkich środowisk.

Dziękuję za rozmowę.
Rozmowę przeprowadził.

JERZY LISSOWSKI

Fot. Jan Maziejuk

PO IX PLENUM KC PZPR AKTYWIZACJA KULTURALNA MŁODZIEŻY

Poprzez dokumenty i dyskusję IX Plenum KC PZPR przewija się założenie, że niemożliwe będzie zrealizowanie decyzji przyjętych na plenum bez społeczeństwa, bez społecznej i samodzielnej zarazem inicjatywy młodzieży i poszczególnych środowisk społecznych. Wzrost aktywności kulturalnej młodzieży stanowi w tym względzie nadrzędne zadanie całego frontu wychowawczego, w tym i organizacji oraz instancji partyjnych.

IX Plenum KC PZPR, a także niedawne plenum KC PZPR na temat pracy partii z młodzieżą, jednoznacznie podkreśliły, że osłabienie aktywności młodzieży w kulturze, ograniczenie dostępu do książki, prasy, a także wartościowego repertuaru kinowego i teatralnego stanowi przesłankę sukcesów przeciwnika politycznego, a jednocześnie odzwyczaja młodzież od postaw społecznikowskich. Bez nich zaś pokonanie kryzysu, z jego skutkami moralnymi i społeczno-politycznymi, będzie niemożliwe.

W świetle tak sformułowanej przesłanki szczególnego znaczenia nabierają decyzje IX Plenum KC w zakresie tworzenia warunków tzw. socjalnego zagospodarowania czasu wolnego dzieci i młodzieży. Organizacjom i instancjom partyjnym wyznaczono zadania tworzenia warunków sprzyjających przejmowaniu przez ruch młodzieżowy klubów, świetlic i domów kultury, a także zwiększeniu wpływów organizacji młodzieżowych na programowanie działalności placówek upowszechniania kultury.

Realizacja tego zadania stwarza nowe perspektywy aktywizacji kulturalnej młodzieży i organizacji młodzieżowych. Celem, do którego trzeba dążyć, jest to, aby organizacje młodzieżowe stały się faktycznymi gospodarzami tych placówek, by rozwijały wartościowy społeczny ruch kulturalny. Rzecz w tym, na ile organizacje młodzieżowe, a także placówki upowszechniania kultury, skorzystają z tak określonej szansy. Przykładów podjęcia próby patronatu młodzieży nad działalnością kulturalną nie trzeba daleko szukać, np. w Dębnicy Kaszubskiej, Nowej Wsi Lęborskiej.

Nadal jednak wiele miasteczek i gmin naszego województwa to przysłowiowe białe plamy. Szansą połączenia dążeń organizacji młodzieżowych i ruchu kulturalnego jest większe niż dotychczas włączenie się młodzieży do ogniw towarzystw społeczno-kulturalnych oraz większa ofensywność samych działaczy kultury wobec kół i zarządków organizacji młodzieżowych. Czas jest taki, że trzeba od siebie wzajemnie więcej wymagać, a nie tylko oczekiwać na inicjatywę.

Tworzeniu warunków dla większych wymagań w sferze kultury poświęcono wiele uwagi na plenum KW PZPR. Teraz, gdy zima stwarza naturalną potrzebę zbliżenia z kulturą, czas, aby dokonał się przełom w naszym stosunku do aktywności kulturalnej — jest ona potrzebą, ale także środkiem tworzenia człowieka godnego życia w społeczeństwie, które wspólnym wysiłkiem tworzymy.

ANTONI KUSTUSZ

MGU — w tradycji i współczesności Kraju Rad

Nawet z perspektywy kilku kilometrów robi wrażenie architektonicznego i urbanistycznego kolosa. Przy bliższym zetknięciu przytłacza wręcz swoim ogromem, oszołamia, onieśmiela, a jednocześnie — pociąga, frapuje, fascynuje. Króluje niepodzielnie na rozległych, przepięknie usytuowanych Wzgórzach Leninowskich, u nasady których wiję się równie pokrętnie co leniwie rzeka Moskwa i — tuż za Łużnikami, w przepastnej i bezkresnej, zdawałoby się, dolinie — pulsuje serce Kraju Rad, centrum prawie dziewięciomilionowej stolicy ZSRR.

Dla Rosjan — nie tylko dla nich zresztą — stanowi on symbol nowoczesnej myśli ludzkiej, postawionej na najwyższym poziomie nauki. Moskiewski Uniwersytet im. Łomonosowa — bo o nim tu mowa — jest istotnie wielką (30 tysięcy studentów!) kuźnią młodych talentów naukowych i specjalistów z najrozmaitszych dziedzin. Liczba jego absolwentów wzrasta z roku na rok, pomnażając kadry wykładowców wyższych uczelni oraz pracowników instytutów naukowo-badawczych związanych z przemysłem, rolnictwem, oświatą, kulturą i sztuką.

Wśród uniwersytetów Związku Radzieckiego moskiewski legitymuje się jednym z najdłuższych i najciekawszych rodowodów. Warto więc — sądzię — pochylić się, choćby na chwilę, nad pozostałymi

KARTAMI BOGATEJ W WYDARZENIA HISTORII

tej ze wszech miar szacownej placówki dydaktyczno-naukowej.

Założony zostaje w roku 1755 z inicjatywy wybitnego chemika, przyrodnika, filozofa, filologa i poety — Michaiła Łomonosowa. Jego pierwszą siedzibę wznosi w 1793 r. przy dzisiejszym Prospekcie Marksa — znany architekt, Matwiej Kazakow.

Od swego zarania uchodzi za główny ośrodek rosyjskiej nauki i kultury, słowem: oświecenia. W murach „Łomonosówki” odbywają akademickie „ostrogi” tacy mistrzowie pióra jak: Lermontow, Gonczarow, Tur-

gieniew, Czechow. W klasycystycznym pałacu Kazakowa zgłębiają tajniki wiedzy znani i serdecznie bliscy Polakom, za sprawą naszych rewolucjonistów, działacze polityczni i społeczni: Hercen, Ogariow, Biełiński, Kalinowski. Dzięki nim postępową myśl zacznie rozwijać się i zataczać coraz szersze kręgi w Rosji carskiej. Przede wszystkim jednak — na Uniwersytecie Moskiewskim, który w latach rewolucyjnego wrzenia (1905—1907 r.), a zwłaszcza w czasie październikowej „burzy nad Azją” w 1917 roku zamieni się w buntowniczą cyta-
delę studencką.

Październik 1917 oznacza przełomową datę w dziejach uczelni. Staje się ona synonimem NOWEGO. Młoda władza radziecka, kładąca ogromny nacisk na kształcenie i wychowanie młodych, światłych ludzi pomocnych w socjalistycznej przebudowie społeczeństwa i gospodarki, wyraźnie hołubi „Łomonosówkę” i „Łomonosowców”. Nie szczędi środków, rozbudowuje Uniwersytet, uruchamia dodatkowe wydziały i kierunki studiów, wzmacnia kadrę profesorską, zwiększa limity przyjęć. Wykładowcy i studenci rzetelnie spłacają dług wdzięczności wobec partii i państwa. W r. 1940 uczelnia odznaczona zostaje Orderem Lenina za „wyjątkowe zasługi w rozwoju socjalistycznej kultury i w szkoleniu wysoko kwalifikowanych specjalistów”.

Napaść Niemiec hitlerowskich na ZSRR brutalnie przerywa tę dobrą passę. Życie uniwersyteckie zamiera. MGU (obiegowy skrót pełnej nazwy: Moskiewskij Gossudarstwiennyj Uniwersitet, po polsku: Moskiewski Uniwersytet Państwowy) w mig dostosowuje się do zaistniałej sytuacji. Studenci, asystenci i profesorowie wspólnymi siłami przekształcają swoją Alma Mater w warowną fortecę: obudowują ją murami obronnymi, stawiają dziesiątki barykad z żelaza i betonu. Pracują w dzień i w nocy, bez chwili wytchnienia. Wiedzą wszak, że lada dzień będą musieli pójść na front. Zostaną tylko studentki oraz przygotowujące je w pośpiechu do służby me-

dycznej w warunkach wojennych wykładowczyń — lekarki i pielęgniarki... W sumie pięć tysięcy „łomonosowców” brało udział w Wojnie Ojczyźnianej. Ponad dwa tysiące z nich rząd radziecki odznaczył za bohaterstwo różnymi orderami bojowymi i odznaczeniami państwowymi. W znacznej części przypadków — pośmiertnie... Komentarz chyba zbyt techniczny.

Potem — wiadomo: usuwanie ruin i zgłiszcz, zasklepianie wyłomów po bombach i pociskach, prowizoryczne urządzenie sal wykładowych i pracowni naukowych. I zarazem — wielkie budowanie. Rada Ministrów podejmuje bowiem decyzję o rozwoju uczelni na niebywałą wprost skalę. Na Wzgórzach Leninowskich wyrastają, niczym przysłowiowe grzyby po deszczu, coraz to nowe obiekty, które z czasem utworzą zwartą pod względem urbanistycznym i równocześnie urzekająco malowniczą od strony architektoniczno-kompozycyjnej całość. Po prostu: miasteczko akademickie z prawdziwego zdarzenia. Z jednym zastrzeżeniem: że określenie „miasteczko” w ogóle pasuje do supernowoczesnej suburbii zamieszkałej przez przeszło 80 tysięcy osób, czyli w przybliżeniu tylu ludzi, ilu mieszkańców liczą sobie Słupsk czy Koszalin...

Do dyspozycji studiującej młodzieży oddano na Wzgórzach 275 katedr, 360 laboratoriów, 163 gabinety naukowe, 11 stacji szkoleniowo-naukowych i 4 instytuty naukowo-doświadczalne oraz komputerowe centrum obliczeniowe, parę obserwatoriów astronomicznych, ogród botaniczny, muzeum antropologiczne i zoologiczne, bibliotekę naukową im. Maksyma Gorkiego i in. W MGU stworzono nie tylko doskonałe warunki do nauki i badań, lecz również do wypoczynku po zakończeniu zajęć akademickich. Sama wyliczanka placówek kulturalnych i obiektów rekreacyjno-sportowych zajęłaby... przynajmniej pół kartki maszynopisu. Powiem tedy krótko: jest tutaj wszystko, absolutnie wszystko, co zwykło się identyfikować z pojęciem miasta AD 1982: sklepy, restauracje, bary, kawiarnie, dyskoteki, kina, kluby, czytelnie prasy i książki, boiska, korty, baseny otwarte i kryte, sztuczne lodowiska, skocznie narciarskie (!), urzędy pocztowe, ośrodki zdrowia, żłobki, przedszkola i... szkoły, parki space-

rowe, no i oczywiście akademiki — całe ciągi uliczne komfortowo urządzone i wyposażone akademików.

Miasto w mieście, ba! miasto w... jednym budynku. Mam tu na uwadze kilkudziesięciopiętrowy pałac — gmach główny Uniwersytetu, w którym można i zjeść, i wypić, i... zabawić się, i obejrzeć film, i spędzić wolną godzinę na występie estradowym, i skorzystać z usług poczty o zasięgu międzynarodowym. Nic dziwnego, jeśli się zważy, że korytarze owego pałacu mierzą... około 500 kilometrów(!), a ogólnie dostępnych pomieszczeń jest w nim... Lubujący się w efektywnych porównaniach Rosjanie powiadają tak: Gdyby od wieku nienowłócego zacząć, dzień po dniu, zwiędzać poszczególne sale, ostatnią „zaliczyłoby się w... 65 roku życia. Nietrudno chyba ustalić na podstawie tej dykteryjki liczbę pomieszczeń w MGU.

Kilka słów o samych studiach. „Moja” uczelnia przygotowuje specjalistów z wybranych dziedzin nie tylko na potrzeby Związku Radzieckiego. Zgodnie z zawartymi przez ZSRR umowami międzynarodowymi studiuja tu młodzi ludzie z blisko 110(!) krajów Europy, Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

SA WŚRÓD NICH I POLACY

Łącznie — kilkuset (na ogólną liczbę ok. 1100 polskich studentów w stolicy Kraju Rad), w tym... dwie mieszkanki województwa ślupskiego. Polacy studiuja tu zarówno nauki ścisłe, jak i humanistyczne. Niezależnie od przyszłej specjalności zawodowej, obligatoryjnie — podobnie jak pozostali obcokrajowcy — odbywają studium z języka rosyjskiego. Starają się — wzorem innych cudzoziemców — nie ustępować swoim radzieckim koleżankom i kolegom pod względem wyników nauczania. Zbierają na ogół oceny dobre i bardzo dobre. Fakt tym bardziej godny podkreślenia, że nie zna się tutaj pojęcia „taryfy ulgowej”. Na czwórke czy piątkę trzeba sobie naprawdę zasłużyć i solidnym opanowaniem materiału, i sumienną pracą przed przystąpieniem do egzaminu.

Większość „Polonusów” z MGU jest człon-

kami SZSP*, którego Rada Międzyuczelniana „rezyduje” w siedzibie Ambasady PRL (bywamy tam przynajmniej raz w miesiącu, przy okazji inkasowania diet Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki).

SZSP stanowi dla nas coś na kształt familijno-przyjacielskiego kraju. Organizuje samopomoc koleżeńską, inicjuje różne imprezy rozrywkowe i towarzyskie pozwalające nam poznać się wzajemnie i nawiązać z sobą bliższe kontakty. Urządza też, wspólnie z Zarządem Uczelnianym „Komsomół”, wycieczki do nieznanych zakątków Moskwy i ciekawych miejscowości w pobliżu radzieckiej stolicy. Związek patronuje również corocznemu „Tygodniom Kultury Polskiej w MGU”, na program których składają się projekcje filmowe, wystawy oświatowe, konkursy, prelekcje, spotkania, dyskoteki. Nasze „Tygodnie” są doskonałą wizytówką ojczystego kraju. Cieszą się olbrzymią popularnością. SZSP zbiera za nie masę pochwał.

Nie uchodzimy także za „ułamków” w sporcie. Nasi siatkarze i szachiści zdobyli niedawno mistrzowskie tytuły w tych konkurencjach w dorocznej Spartakiadzie Zagranicznych Studentów MGU. Przykłady takie można by mnożyć. Cieszą i satysfakcjonują, bo — pozwalają choć w części wyżyć się kryzysowych kompleksów...

Niemniej prętnie niż SZSP działa na Uniwersytecie koło TPPR. Stawia ono sobie za cel przede wszystkim przybliżenie piękna Kraju Rad i — w szczególności — jego stolicy, m. in. poprzez sobotnio-niedzielne spacerki po „starej Moskwie” i jej peryfe-

riach, wiosenne wypadki do podmoskiewskich lasów, weekendowe wyprawy do wartych zwiedzenia miast w obrębie dawnego Księstwa Ruskiego.

A jest tam naprawdę co zwiedzać. Gdziekolwiek się nie ruszysz, kłania Ci się HISTORIA. Czujesz jednocześnie żywy puls WSPÓŁCZESNOŚCI. Zupełnie odmiennej od tej, której wizję wywoziłeś z Polski. Przewartościowującej odziedziczone po Twoich i moich przodkach stereotypy myślowe. Budzącej spontaniczny respekt, szacunek i uznanie. Wyzwalającej z lekka przytłumione i jakby trochę wstydliwie skrywane uczucia sympatii i przyjaźni wobec ludzi otwierających przed Tobą na oścież swoje serca, witających Cię jak najprawdziwszego brata.

Nic w tym — proszę wierzyć — z „nowicjuszkowskiej” emfazy czy politycznej retoryki. Ocieram się o historię i współczesność naszych wschodnich sąsiadów dosłownie dzień w dzień — od z górą dwóch lat. I ciągle odczuwam niedosyt wrażeń. Ciągle „odkrywam” na nowo otaczający mnie świat. Ciągle żyję pod urokiem wielkiej przygody. Ciągle wydaje mi się, że po pięciu latach studiów na MGU wrócę do Polski z takim samym bagażem niezaspokojonych pragnień i marzeń, z jakim po raz pierwszy przekraczałam próg stacji metra przy ulicy akademika Wiernadskiego z napisem „Wzgórze Leninowskie”...

MAGDALENA L. LISSOWSKA

* artykuł napisany przed Krajowymi obradami SZSP i utworzeniem Zrzeszenia Studentów Polskich

LUDOWE PAMIĄTKI

Rozstrzygnięto IV Konkurs Twórczości Ludowej i Pamiątkarskiej Pomorza Środkowego — organizowany staraniem WKIS Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Pomorza Środkowego, Art-Region, Pol. Tow. Ludoznawczego. Konkurs wspierają: SSK „Pobrzeże”, Izba Rzemieślnicza i oddział słupski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Wpłynęło 578 prac od 77 autorów. Nadesłano wyroby z dziedzin: rzeźba w drewnie i bursztynie, haft kaszubski, złotowski, kurpiowski (kolorowy i złotogłowie), plecionki wiklinowe z korzenia i sznurka, lutnictwo, malarstwo na szkło i płótnie, ceramika z wzorami kaszubskimi, kamień zdobiony.

Łącznie organizatorzy przyznali: cztery pierwsze nagrody, pięć drugich, pięć trzecich, dwa-

naście wyróżnień i trzy nagrody specjalne.

Pierwsze miejsca otrzymali Antoni Barton z Przechlewa — za rzeźbę w drewnie, Albert Speiser z Motarzyna — za plecionki z korzenia, Genowefa Pałubicka z Bytowa — za haft — złotogłowie kaszubskie oraz Katarzyna Kaliszewska z Siemianic za haft kurpiowski.

Nagrody specjalne, fundowane przez Izbę Rzemieślniczą, SSK „Pobrzeże” i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, otrzymali: Janina Krycka (Słupsk) za popularyzację haftu kaszubskiego, Marian Zawadzki (Hel) za osiągnięcia w kultywowaniu sztuki rzeźbienia w bursztynie, Alfred Lubocki (Lębork) za wieloletnią owocną działalność w krzewieniu amatorskiego rzeźbiarstwa kaszubskiego. (wa)

Gwizdże, czyli kaszubskie zwyczaje i obrzędy bożonarodzeniowe

Już w adwencie — do niedawna okresie bardzo surowego i rygorystycznie przestrzeganego postu — ożywały na Kaszubach, wydające się bodaj z czasów średniowiecznych, tradycje ludowe, m. in. w postaci obchodzenia wsi z maskarami.

Były to ulubione przez niegdysiejszych Pomorzaków pochody w maskach zwierząt — głównie „gwoli odwiedzenia wieśniaczych zagród” — udomowionych (kozy, barany, turonie), ale i dzikich (np. wilki, niedźwiedzie). Zdarzało się, iż chodzono po wsiach z żywym „grubym zwierzem” (na uwięzi i w kagańcach), częściej jednak przebierano się po prostu za groźnego niedźwiedzia lub wilka opasując się dla niepoznaki sporą wiązką grochowin.

Na skutek coraz bardziej bezwzględnych zakazów pruskich władz administracyjnych pochody maskarowe kompletnie zanikły na ziemi bytowskiej u schyłku dwudziestolecia międzywojennego i dopiero po powrocie Bytowszczyzny do Macierzy zaczęto je kontynuować w niektórych miejscowościach na terenie obecnego województwa śląskiego.

Mniej wileć w połowie grudnia rozpoczynały też swoje tradycyjne pochody bożonarodzeniowe gwiazdy i gwiazdory zwane z kaszubska gwizdżami, a w wigilijny wieczór — oryginalne szopki połączone z reguły z ulicznymi, improwizowanymi inscenizacjami o tematyce Bożego Narodzenia. Drzewiej — jak wspominają dziś sędziwi Kaszubi spod Bytowa — celowała w ich organizowaniu „młodź ptci męskiej”, przeważnie w wieku poborowym. Później atoli, w szczytowym okresie naporu teutońskiego pangermanizmu (po I wojnie światowej), obchody z gwiazdą, gwizdżem i szopką urządziła jedynie — ze względów bezpieczeństwa — młodzież szkolna.

Skoro już o wieczorze wigilijnym mowa. Obfitował on w rozliczne zwyczaje i obrzędy ludowe, nie wyróżniał się wszakże niczym szczególnym, jeśli idzie o obrzędowość świątecznych posiłków.

Według Bożeny Stelmachowskiej („Rok obrzędowy na Pomorzu”, 1933) u rybaków w wigilię rano dokonywano podziału zasolonych uprzed-

nie węgorzy pomiędzy członków danej maszoperii (12—13-osobowego zrzeszenia rybackiego), spożywano je następnie w rodzinnym gronie na obiad, wigilijny stół zastawiając dla odmiany łososiem. Co charakterystyczne, w trakcie wieczerzy prawie w ogóle nie używano rozpo-
wszechnionego w innych regionach kraju opłatka. Znało byto za to i praktykowane na Kaszubach strojenie choinki. Znamienny szczegół: w rejonach nadmorskich i pojeziernych umieszczano nad nią tzw. kura morskiego, który — niczym busola — miał wskazywać siedzącym na zapiecku biesiadnikom kierunek i siłę wiatru.

Po wieczerzy następowało rytualne obdarowywanie prezentami rodziny i reszty domowników. Potem udawano się na wcześniejszy niż zwykle spoczynek, przerywany na krótko przed północą dla obrzędowego nakarmienia bydła i zbiorowego wyprawienia się na nocne nabożeństwo, czyli pastórkę. W kaszubskich wioskach rybackich o zmierzchu dokonywano też wilijno-
-świątecznego przeglądu całego obejścia oraz skrapiania wodą święconą gospodarzy, współdomowników, czeladzi i inwentarza, obwitywania drzewek i zaklinania zbóż „na urodzaj”, kolędowania po zabudowaniach gospodarskich z gwiazdarami i innymi maskarami, aranżowania „świętych” wróżb szczęścia, zamążpójścia i długiego a szczęśliwego życia. Ciekawostka: wierzone nagminnie w to, że o północy zwierzęta rozmawiają ze sobą ludzkim językiem i że w noc Bożego Narodzenia zstępują na ziemię chmary dobroczynnych krasnoludków.

Nieco barwniejsze były obrzędy zamieszkałej na Kaszubach i dominującej tu bezapelacyjnie — biednej na ogół — ludności rolniczej. Nasilały się w wigilię w tych środowiskach adwentowe zabawy maskarowe i chodzenie od domu do domu z szopką. Sam wieczór wigilijny spędzano podobnie jak w pozostałych rejonach Pomorza z tą tylko różnicą, że bardziej skromnie niż gdzie indziej. Specjalnych wystawnych potraw w Bytowskim (oraz po części w Lęborskim i Słupskim) nie serwowano, bo życie — jak już wspomnieliśmy — upływało tutaj pod znakiem biedy graniczącej ze skrajnym ubóstwem i nędzą.

Z początkiem lat trzydziestych zupełnie zanikła na „naszych” Kaszubach tradycja wigilijnej wieczerzy, najpierw pod wpływem purytańskich i nie przebiegających w środkach kołoniistów niemieckich, następnie zaś wskutek dyktowanego względami religijnymi ograniczania do minimum starodawnych, sutojedy potraw. W niektórych wioskach sprowadzała się ona do zwykłej postnej wieczerzy świątecznej i tu bowiem stosowano się ściśle do nakazów i zakazów postu. Całodzienna głodówka łagodzona była przy wieczerzy (godowej wieczerzy), a w pełni odstępowano od niej dopiero po powrocie z pastórki. M. in. wypiekano wówczas na tłuszczu zwierzęcym (opkę szmalc) pączki (pumpelci), słanowiące po dziś dzień na Kaszubszczyźnie podstawowe danie, z tym, iż w okresie międzywojennym do ich wypieku stosowano już wyłącznie olej.

Co się tyczy obrzędowości sensu stricto: Otóż wszadzano powszechnie wiązkę siana pod obrus, rzucano grochem „na urodzaj”, a o godz. 24 zaklinano drzewa, aby rodziły dorodne owoce. Bydło otrzymywało w wigilię lepszą niż normalnie paszę, z każdej potrawy boday odrobinę, szczyptę. Północna pora była pełna cudowności: zjawiały się duchy zmarłych, zwierzęta poczynają mówić... Z tradycyjnych nakazów do dzisiaj w pewnych zakątkach Bytowszczyzny dochowało się obrzędowe czerpanie źródłanej wody, która w wierzeniach kaszubskiego ludu w niektórych miejscach przemienia się o północy w wino. Po ową wodę udawano się obowiązkowo w absolutnym milczeniu, ba! nie wolno było pod jakimkolwiek pozorem obejrzeć się za siebie, ani — broń Boże! — opowiadać innym o tym, co ewentualnie widziało się i słyszało podczas wyprawy do źródła.

W większości wsi pod karą ścięcia „nawoływano” drzewa owocowe do rodzenia owoców. Czynił to z reguły gbur (bogaty chłop), który udawał się do sadu wraz z parobkiem niosącym siekierkę i dzwonek. Zadawano przy tym drzewu pytanie: Czy bandziesz rodzęto? Jeśli domniemano, że dało ono odpowiedź twierdzącą, obwiązywano jego pień warstwą średniej grubości prostej słomy żytniej, która miała za zadanie zabezpieczyć je przed szkodnikami i chłodem. Ci z gburów, którzy posiadali pasieki, w noc wigilijną po północy, czasem w noc sylwestrową, czyli w wigilię Nowego Roku, pukali łaskami do uli pytając, czy pszczoły roje

żyją. Przeważnie traktowano to rytualnie. Bywali wszelako i tacy, co skwapliwie i uważnie nasłuchiwali tak długo, aż nie uzyskali (w swoim przekonaniu, oczywiście) „przrzeczenia” pszczoł o dobrych miodobraniach w nadchodzącym sezonie.

Ryszard Kukier („Kaszubi bytowscy. Zarys monografii etnograficznej”, 1968), od którego zapożyczyłem większość pomieszczonych w niniejszym szkicu opisów, utrzymuje nawet, iż pewne reliktywie praktyki wierzeniowe, zaobserwowane w kilku wioskach na południu ziemi bytowskiej, zdają się wskazywać na istnienie tu kultu dusz zmarłych. Mianowicie w jednej z rodzin w Ciemnie po wieczerzy wigilijnej, tuż przed udaniem się domowników na spoczynek, wystawiano np. pożywienie dla duchów nieżyjących krewnych i przodków wierząc, że tej nocy przychodzą one ogrzać się przy piecu. Stąd też w pobliskiej Trzebiatkowej przestrzega się czasem i dziś jeszcze, aby zachować należyty spokój i powagę w takich sytuacjach. W siedzibie słynnego kaszubskiego rodu Styp-Rekowskich — w Rekowie — domownicy pilnują się nawzajem, by po godz. 24. nie wchodzić niepotrzebnie do budynków gospodarczych i nie czerpać wody ze studni, a przed północą zakończyć obchodzenie zagrody na podaniu bydłu resztek pokarmów ze wspólnej wieczerzy. Z reliktyami nakazów wystawiania pożywienia duszom zmarłych można było spotkać się jeszcze całkiem niedawno w grupie szczątkowej ludności rodzimej w Trzebielinie na terenie b. powiatu miastecckiego. W Brzeźnie Szlacheckim, w północnej części ziemi człuchowskiej, pozostawiano w chlewach przy zwierzętach gospodarskich stołek dla duszy śp. gospodarza, żywiono tam bowiem przekonanie, że pośrodku nocy wigilijnej zwykł on przybywać na rozmowy do owych zwierząt, zwłaszcza do bydła i do koni. Kaszubi bytowscy tłumaczą te szczątkowe już dzisiaj nakazy obrzędowe koniecznością dokonywania okresowych przeglądów gospodarstw przez ich dawnych właścicieli.

Do naszych czasów przetrwały na Kaszubach wróżby dziewczęce związane z przyszłym zamążpójściem. Wróżono i wróży się głównie z wyciągniętych ze snopów żądźbeł słomy, z parzystości żerdzi w płocie, z liczby przyniesionych naręczy dREW, z odmierzonych stopami odległości między poszczególnymi budynkami w zagrodzie.

c. d. nastąpi

JERZY LISSOWSKI

Bogaty plon dekady

Po trzyletniej przerwie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” znów powróciło do starego zwyczaju organizowania — w ramach Dekady Książki Społeczno-Politycznej pod hasłem „Człowiek — Świat — Polityka” — tematycznych spotkań literatów i dziennikarzy z czytelnikami w zakładach pracy, na wsi i w szkołach.

W sumie, w czasie zakończonych 30 listopada dni książki i prasy społeczno-politycznej, odbyło się w Słupsku 70 spotkań autorskich, w tym w szkołach ponadpodstawowych — 25, w wiejskich klubach prasy i książki „Ruch” — 21, w większych zakładach przemysłowych i rolnych w rejonie Słupska, Ustki, Bytowa i Kobylnicy — 16, w wybranych placówkach kulturalno-oświatowych (Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Wojewódzki Dom Kultury, SSK „Pobrzeże” w Słupsku) — 5.

Z 9-osobowego grona miejscowych pisarzy akces do reaktywowanych przez Stowarzyszenie, przy współudziale Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Oddziału Wojewódzkiego RSW „Prasa — Książka — Ruch”, latających klubów myśli politycznej” zgłosili: Leszek Bakula, Zygmunt Flis, Zbigniew Kiwka, Tadeusz Pawlak, Andrzej Turczyński i Zbigniew Zielonka. Słupskie środowisko dziennikarskie reprezentowane było we wspomnianej akcji spotkaniowej przez red. red. Jerzego Dąbrowa-Januszewskiego z PAP i naszego miesięcznika, Tadeusza Martychewicza, Andrzeja Radzika i Wiesława Wiśniewskiego ze „Zbliżeń”, Zbigniewa Janiszewskiego z „Konfrontacji” oraz Waldemara Pakulskiego i Ireneusza Wojtkiewicza z „Głosu Pomorza”.

W dniach 25—26 XI, w cyklu (8) spotkań z miłośnikami literatury społeczno-politycznej w Słupsku, Dębnicy Kaszubskiej i Warcinie uczestniczył również doc. dr hab. Stefan Opara z Wyższej Szkoły Nauk Politycznych przy KC PZPR, autor kilkunastu publikacji książkowych (m. in. znanej rozprawy naukowej pt. „Socjalizm a świadomość”) z dziedziny filozofii marksistowskiej i religioznawstwa.

Frekwencja na spotkaniach dopisała nadspodziewanie. Łącznie wzięło w nich udział ponad trzy i pół tysiąca młodych i starszych wiekiem mieszkańców regionu. Co warto szczególnie podkreślić: po raz pierwszy od dwóch lat ludzie pióra nawiązali — na terenie zakładów pracy — bezpośredni dialog z robotniczym aktywnym tych zakładów.

Okazało się, że jednak można, że — jak to w przysłowiu — „nie taki diabeł straszny jak go malują”, że — wbrew rozpowszechnionym po sierpniu 1980 mitom — robotnicy wcale nie zamknęli się w sobie i nie zdystansowali od kultury. Trzeba tylko umieć i chcieć do nich trafić.

Warto pójść za przysłowiowym ciosem i — nie czekać do listopada 1983 roku z podjęciem kolejnej tury nawiązanego dialogu.

J. L.

ROCZNICA ZJEDNOCZENIA

W grudniu ubiegłego roku, z okazji 34 rocznicy zjednoczenia PPR i PPS, w szkołach, bibliotekach, placówkach kulturalnych, klubach zakładowych w województwie odbyły się liczne okolicznościowe imprezy (spotkania z działaczami PPS, PPR, konkursy, wieczornice, wystawy, nadzwyczajne zebrania POP PZPR) upamiętniające to ważne wydarzenie. Imprezy w większości stanowiły kontynuację obchodów 100 rocznicy polskiego ruchu robotniczego.

14 szkół w miastach i miejscowościach gminnych w województwie śluskim nosi imiona działaczy polskiego ruchu robotniczego — Feliksa Dzierżyńskiego, Władysława Kowalskiego, Janka Krasickiego, Marceliego Nowotki, Hanki Sawickiej, gen. Karola Świerczewskiego, Ludwika Waryńskiego, Aleksandra Zawadzkiego i Franciszka Zubrzyckiego.

60 LAT ZSRR

W Śluskę odbyła się 17 grudnia ubiegłego roku sesja popularno-naukowa z okazji 60-tej rocznicy powstania ZSRR. Z referatami wystąpili: doc. dr hab. Władysław M. Grabski z Instytutu Krajów Socjalistycznych Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych — „Wyrównywanie różnic w poziomie oświaty i kultury republik radzieckich”, dr Stefan Zurawski z WSP Ślusk — „Historyczne znaczenie powstania ZSRR”, mgr Marek Opilowski z Instytutu Krajów Socjalistycznych PISM — „Polityka narodowościowa KPZR”.

W „Baszcie Czarownic” otwarto 9.12. ubiegłego roku ekspozycję 30 kompozycji witraży współczesnych wykonanych przez artystów — Elżbietę i Andrzeja Bednarskich z Rypina. Artysci ukończyli studia na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Wykonali wiele witraży m. in. dla Pałaców ślubów w Toruniu i Tucholi.



Fot. J. Maziejuk

kała, Jerzy Czerwiński. Pięciu fotografików otrzymało wyróżnienia.



Fot. J. Maziejuk

Malarstwo i grafikę „technobrilla” — dzieło pracowników Spółdzielni Inwalidów Niewidomych — ekspozowano w sali WK SD.

Przy Wojewódzkim Domu Kultury utworzono Centrum Kultury Robotniczej, którego celem — jak stwierdzono na pierwszym zebraniu z udziałem twórców (poetów, prozaików) z kilku zakładów — jest otoczenie fachową pieczę robotników parających się amatorsko twórczością literacką.

W Domu Kultury Kolejarza w Śluskę esperantyści spotkali się 11.12. ubiegłego roku z dr Anną Dramowicz, przewodniczącą Oddziału PZE w Olsztynie.

130 prac od dziesięciu autorów otrzymali organizatorzy (Śluskie Towarzystwo Fotograficzne, STSK, MOK) dorocznego konkursu na fotografię roku. Nagrody otrzymali: II ex equo — Adam Jaworski, Grzegorz Tupajka, dwie trzecie — Czesław Ce-

Nakładem SSK „Pobrzeże” i Oddziału PTH, Wydawnictwo Poznańskie opublikowało „Dzieje Łęborka”. Jest to praca zbiorowa pod redakcją Józefa Lindmajera i Teresy Machury. Zrecenzujemy tę interesującą książkę wkrótce.

Waldemar Mystkowski, poeta rodem ze Ślusk, uzyskał zaszczytną pierwszą nagrodę (Złoty Kluczek do Zamku) w dorocznym ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jana Spiewaka w Świdwinie.

* * *

Popularną Słupską Grupę Baletową „Arabeska” widzieliśmy po dłuższej przerwie na scenie krajowej — występującą w koncercie Centralnych Obchodów Święta „Barbórki”. Koncert transmitowała Telewizja Polska.

* * *

Bułgarską bajkę „Czimi” Borysa Aprilowa, w reżyserii Zofii Miklińskiej, scen. Ali Bunscha i muzyką Wandy Dubanowicz — teatr „Tęcza” uświetnił na swojej scenie finał dorocznej imprezy redakcji „Głosu Pomorza” — **Prezent dla dziecka.**

* * *

Jubileusz 80-lecia urodzin obchodził Władysław Fedorowicz

— pierwszy burmistrz Słupska, Zasłużony Obywatel Miasta.

* * *

W MOK w Lęborku czynne były interesujące wystawy — malarstwo Stefana Morawskiego i Romana Milera, fotografie pn. „Sztuka współczesna” (obrazujące rzeźby plenerowe eksponowane na międzynarodowej wystawie sztuki współczesnej w Waszyngtonie) oraz — najnowsza — barwne fotografie „Kalifornia”. (Sob.)

* * *

Jubileusz pięciu lat pracy w kameralnej formie obchodzono w Słupskim Teatrze Dramatycznym. Aktorzy zaprezentowali na Zamku aktualnie w repertuarze przedstawienia monodramów — „Nowe Wyzwolenie”, „Zabicie ciotki”.

* * *

Kronika personalna

Kazimierz Świdorski — dotychczasowy dyrektor WDK, objął stanowisko dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Supsku.

Mieczysław Jaroszewicz — dotychczasowy dyrektor Wydziału Kultury UW, został mianowany dyrektorem Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Jerzy Mazurkiewicz — prezes Lęborskiego Towarzystwa Kulturalnego, dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Lęborku, został wybrany członkiem Prezydium WK SD w Słupsku.

Wacław Kuper — wieloletni działacz Lęborskiego Towarzystwa Kulturalnego, działacz oświatowy, był naczelnik Lęborka — został mianowany podsekretarzem stanu w Ministerstwie Oświaty i Wych.

Repertuar — styczeń

Słupski Teatr Dramatyczny

Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 49-60, 38-39

— „Baba dziwo” — M. Pawlikowska-Jasnorzewska, reż. Jowita Pięnkiewicz, scen. Liliana

— „Don Juan” — Molière, reż. Paweł Nowicki, scen. Grzegorz Marszałek, muz. Zbigniew Preisner

— „Postrzyżyny” — monodr. — B. Hrabal, reż. Jan Polak, wyk. Elżbieta Woronin

— „Zabicie ciotki” — monodr. — A. Bursa, reż. Paweł Nowicki, wyk. Cezary Nowak

(laureat Ogólnop. Przegl. Małych Form Teatralnych — Wrocław '82)

— „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego” — monodr. — M. Białoszewski, reż. Paweł Nowicki, wyk. Jolanta Banak

Państwowy Teatr Lalki „Tęcza”

Słupsk, ul. Waryńskiego 2, tel. 87-94, 39-35

— „Czimi” — Borys Aprilow, reż. Zofia Miklińska, scen. Ali Bunsch, muz. Wanda Dubanowicz, (premiera)

— „Ballada o bochenku chleba” — Edmund Wojnarowski reż. Zofia Miklińska, scen. Alina Afanasjef, muz. Jerzy Stachurski — przedst. choinkowe

CO, GDZIE, KIEDY? CO, GDZIE, KIEDY?

CO, GDZIE, KIEDY? CO, GDZIE, KIEDY?

- „Przygody wiercipięty” — Józef Pehr, reż. i scen. Jerzy Dorman, muz. Franciszek Wilkoszewski — przedst. choinkowe

Koncerty Słupskiej Orkiestry Kameralnej

- Koncert podwójny na dwa fortepiany — J. S. Bach, soliści — Waldemar Andrzejewski, Franciszek Gajb (fortepian). Dyryguje Bohdan Jaromałowicz

13.01.1983 godz. 17.00 — P. Szk. Muz. Lębork

14.01.1983 godz. 18.00 — Słupsk — sala teatru

- Koncert a-moll na dwoje skrzypiec — A. Vi-valdii. Koncert d-moll na dwoje skrzypiec — J. S. Bach, soliści Magda Rezler, Michał Grabarczyk (skrzypce). Dyryguje Jacek Kra-szewski

27.01.1983 godz. 17.00 — Słupsk — sala teatru (dla młodzieży)

28.01.1983 godz. 18.00 — Słupsk — sala teatru

Zespół Szkół Muzycznych

ul. Szczecińska 106

sala kameralna im. Karola Szymanowskiego

- Koncert uczniowski dla pensjonariuszy „Domu Pogodnej Starości”

06.01.1983 godz. 18.00 — sala „Domu Po-godnej Starości” ul. Leśna

- Wieczór Kolęd i Pastorałek w wyk. zespołu wokalnego „Magistri Cantantes” pod dyr. doc. Henryka Stillera

07.01.1983 godz. 19.00 — sala im. Karola Szymanowskiego

- Recital muzyki operowej. Solista K. Przy-tubiński. Słowo o muzyce mgr H. Bezeg

21.01.1983 godz. 18.00 — sala kam. im. Karola Szymanowskiego

- Koncert uczniowski klas sekcji fortepianu, skrzypiec, instrumentów dętych

25.01.1983 godz. 18.00 — sala kam. im. Karola Szymanowskiego

Muzeum Pomorza Środkowego

Słupsk, ul. Dominikańska, tel. 40-81

Zamek Książąt Pomorskich

Wystawy stałe: — Sztuka Dawna Pomorza od XIV do XVIII wieku — Stanisław Ignacy Witkie-wicz — Portrety

Wystawa czasowa:

- Rzemiosło i przemysł artystyczny II poł. XIX wieku — historyzm

Młyn Zamkowy

- Kultura materialna i sztuka ludowa Pomorza

— wystawa czasowa — pokonkursowa „Twór-czość ludowa i pamiątkarska Pomorza — Słupsk 1982”

Biuo Wystaw Artystycznych

Słupsk, ul. P. Findera 3, tel. 40-41

Galeria BWA „Baszta Czarownic”

Słupsk, ul. Francesco Nullo, tel. 62-48

- „Fantastyka i metafora” malarstwo i grafika ze zbiorów BWA Poznań

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch”

Słupsk, pl. Armii Czerwonej 18, tel. 66-07

- malarstwo Marii Przyborowskiej (Olsztyn)

Galeria Młodych — Miastko

- „Ceramika dla architektury '82” — wystawa poplenerowa.

CO, GDZIE, KIEDY? CO, GDZIE, KIEDY?



Nowy GOK

W Czarnej Dąbrówce pomyślnie zakończono w ub. roku modernizację obiektu dla potrzeb Gminnego Ośrodka Kultury. Wygląda jak... nowy.

fot. J. Maziejuk



ZE WSPOMNIENIĘ DZIAŁACZA

To, co tu przedstawiam, dotyczy zrzeszenia ludzi dobrej woli, którzy w okresie październikowej odnowy 1956 roku chcieli w Człuchowie i okolicy przyczynić się do tworzenia lepszego, spokojnego życia. Powstało więc Towarzystwo Miłośników Ziemi Człuchowskiej.

Istniało już od lat Towarzystwo Miłośników Krakowa, Poznania, a przed wojną — Chojnic, więc zdaniem Mariana Stopy — aptekarza z Debrzna, powinno być także w Człuchowie. Wprawdzie wówczas, w 1960 roku, miasteczko liczyło tylko około 7 tys. mieszkańców i nie bardzo mogło przymierzać się do Krakowa, ale entuzjazm aptekarza udzielił się tutejszym i w myśl hasła „albośmy to jacy, tacy” założyliśmy nowe towarzystwo. Prasa chwaliła nasz zapal („Głos Koszaliński” z 25 XI 1960 r., IKP z 18 XII 1960 r.), bo i w Debrznie powstało koło naszego Towarzystwa.

Już na przełomie lat 1956/57 działał tu Klub Inteligencji, a w 1957 roku powstało Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich centralnie sterowane, ale Towarzystwo Miłośników Ziemi Człuchowskiej chciało być samorządne i niezależne, a także bardzo bliskie człuchowianom.

Towarzystwo człuchowskich miłośników

Wkrótce trzeba było dopełnić różnych formalności, aby towarzystwo działało legalnie. W 1962 roku prezesem Towarzystwa był sędzia Kazimierz Zmeltz i on był głównym autorem statutu, który z poprawkami został zaakceptowany w 1963 r. przez Wydział Spraw Wewnętrznych przy ówczesnym PPRN w Człuchowie. Statut określa cele stowarzyszenia: popularyzacja wiedzy o ziemi człuchowskiej, popieranie turystyki, ochrona przyrody i zabytków. Już wtedy planowano założenie muzeum. Jak na owe czasy były to cele ambitne i nowatorskie, bo historia Człuchowa była nieznana, a turystyka dopiero w powijakach. Na zebraniach omawialiśmy często potrzebę ochrony przyrody i środowiska ze względu na zatrucie jezior człuchowskich ściekami miejskimi, także na konieczność zabezpieczenia zamku i innych zabytków Ziemi Człuchowskiej. W celu upiększenia miasta, wraz z władzami zorganizowaliśmy konkurs na najpiękniejszy ogródek przydomowy. Aby usprawnić pracę, przydzielono zadania poszczególnym sekcjom — historyczno-kronikarskiej, turystyczno-krajoznawczej, upiększania miasta i innym.

W okresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego Towarzystwo włączyło się do prac w organizacji „Dni Człuchowa”. W 1964 roku na sesji naukowej związanej z XX-leciem Ziemi Zachodnich i Północnych, szerzej popularyzowano historię Człuchowa. Dwa lata później, kiedy to Pomorze Gdańskie obchodziło 500-lecie Pokoju Toruńskiego, przypominano te wydarzenia na sympozjum zorganizowanym przy pomocy ośrodka naukowego toruńskiego. Na XXX-lecie powrotu Ziemi Człuchowskiej do Polski Towarzystwo Miłośników Ziemi Człuchowskiej przygotowało wspólnie z innymi organizacjami sesję naukową, poświęconą dorobkowi Człuchowa w okresie powojennym (2 III 1975 r.).

W tym też roku Towarzystwo Naukowe w Toruniu obchodziło 100-lecie działalności, więc i TMZCz w dniu 14 V 1975 roku przypomniało ten jubileusz na uroczystym zebraniu poświęconym członkom TNT, działającym w Człuchowskim

przed pół wiekiem. Nawiązaliśmy do tradycji TNT w Toruniu, które na przełomie XIX i XX w. miało tu grupę swoich członków, przeważnie wychowanków Stanisława Kujota (późniejszego prezesa TNT. Szczególne zasługi dla Człuchowa miał aktywny członek tego Towarzystwa — Konstanty Kościński. Napisał on kilka prac o Człuchowie i okolicy, a publikował je w Rocznikach TNT R. 11—19 (lata 1904—1909).

Czasem nasze Towarzystwo inspirowało także badania archeologiczne prowadzone przez UAM w Poznaniu i UMK w Toruniu oraz Muzeum Okręgowe w Koszalinie. Członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Człuchowskiej byli też w kontakcie z pracownikami PAN pracującymi nad Atlaseм Gwar Polskich.

Współpraca z Oddziałem Polskiego Towarzystwa Historycznego polegała na wspólnym opracowaniu 16 tomu Biblioteki Słupskiej pt. „Z dziejów Ziemi Człuchowskiej”, wyd. w Poznaniu w 1967 roku.

W latach następnych członkowie Towarzystwa włączyli się do opracowania monografii „Dzieje ziemi człuchowskiej” (wyd. w 1975 r.), roztoczono opiekę nad zabytkami, zwłaszcza dotyczy to zabezpieczenia i remontu zamku. Postulowane już w 1963 roku założenie muzeum zostało zrealizowane w 1975 roku i ekspozycje, zbierane w ostatnich kilkunastu latach, znalazły się we właściwych pomieszczeniach. Dobre wyniki dały konkursy: fotograficzny w 1968 roku i pamiątkarki 1975/76.

Zarząd TMZCz był inspiratorem takich działań, jak ukwiecenie miasta i nadawanie ulicom nazw związanych z ludźmi zasłużonymi dla Człuchowa. W związku z tym opracowuje się biografię takich ludzi.

Z okazji różnych rocznic wyjeżdżaliśmy do pobliskich gmin, aby i tam upowszechnić wiedzę o naszej ziemi. Poprzez wystawy książek regionalnych, wydanych przez Bibliotekę Słupską, KTSK i KOBN przybliżaliśmy społeczeństwu historię regionu. Nasi członkowie na obozach i koloniach żywym słowem przekazywali młodzieży ciekawe dzieje Człuchowa i okolicy, zachęcając do poznania nie tylko piękna pobliskich lasów i jezior. W 1977 roku PAN przyjęła na odczyt do Słownika Polskich Towarzystw Naukowych o naszym Towarzystwie Miłośników Ziemi Człuchowskiej, z przeznaczeniem do II tomu tego słownika.

W okresie działalności Towarzystwa były lata bardziej i mniej widocznej działalności. Nie zawsze frekwencja dopisywała, a były nawet zebrania, na których zastanawialiśmy się, czy nie rozwiązać organizacji. Byli jednak tacy, którzy uważali, że trzeba trwać i wytrwać. Wierzymy, że więcej człuchowian uzna Towarzystwo za swoje i zasili jego szeregi. Nadaliśmy honorowe członkostwo urodzonemu w Człuchowie Józefowi Iwickiemu — autorowi ciekawego pamiętnika z lat 1914—1918, któremu marzyła się wolna Polska. Zasłużonym dla naszego Towarzystwa jest także wieloletni prezes Józef Berent — wychowawca paru pokoleń młodzieży człuchowskiej, twórca pierwszych pomników w Człuchowie. Entuzjastą zabytków człuchowskich i ich historii jest Zdzisław Matyla, który dokumentuje **stare i nowe** w zabudowie ulic miasta. Wielu innych zbiera materiały i przyczynia się dokładając cegiełkę do ciekawych dziejów tego regionu.

Chcielibyśmy mieć wpływ na nadawanie odznaczeń „Zasłużony dla Człuchowa”. Będziemy dążyli do tego, by ludzie dobrze zapisani w historii tego miasta mieli swoje ulice (Konarscy, Grabowscy, Nowodworscy i in.). Miejsca związane z ważniejszymi wydarzeniami w dziejach tych okolic powinny mieć tablice lub nawet pomniki. Trzeba ocalić od zapomnienia to, co świadczy o polskiej przeszłości tej ziemi. Niedawno obchodziliśmy XV-lecie Towarzystwa i podsumowując jego działalność uznano, że zostanie ślad nie tylko w publikacjach, ale i w pamięci tych, którym leży na sercu dobro naszego miasta. Chcielibyśmy przecież, aby był to dom przytulny i spokojny nie tylko dla nas, ale i dla następnych pokoleń.

EDMUND KŁOSKOWSKI

TEATR POKĄTNY

Na ogół nieprzytulne, brzydkie, nie-funkcjonalne pomieszczenia, czasem brak i takowych, baraki i miejsca zastępcze, prowizoryczne, oznaczone szyldami jako domy kultury, świetlice, kluby — a nad tym wszystkim wszechwładnie unoszący się duch cotygodniowej — dwudniowej dyskoteki. W tym zdehumanizowanym w swej istocie pejzażu naszej kultury tereno-wej (tak ten pejzaż, tmino paru chwaleb-nych, wręcz elitarnych wyjątków, wyglądu), mają miejsce dokonania szarych „wyrobników” kultury, którym nie jest „wszystko jedno jak jest”, a którzy — wiedzeni nie-omylnością posiadanego jeszcze instynktu samozachowawczego, uchylają się postępu-jącemu coraz wyraźniej procesowi kultural-nego analfabetyzmu i jałowości środowisk w których żyją. Powie ktoś: żadna to re-welacja, że dany pracownik placówki kul-turalnej próbuje po prostu pracować i to za niezłe (ostatnio) pieniądze.

A jednak rewelacja, ponieważ każdora-zowo ujawniają się ci ludzie jako powo-lani do tej pracy, a nie tylko wypełniają-y miejsca zatrudnienia. Myślę tu szczegól-nie o prawdziwych twórcach kultury, o garstce instruktorów mających pasję dla teatru, tańca, muzyki, plastyki. Działania ich to podejmowanie trudu wręcz „apostol-skiego” — podnoszenie z marazmu, z zale-wającego nas oceanu prostactwa i cham-stwa, ku odmianie.

Wiadomym jest (ale to trzeba ciągle u-świadamiać, że człowiek po to tworzy kul-turę, by stać się lepszym niż jest. W poło-wie ubiegłego stulecia, John Ruskin skons-tatował (oczywiście w odniesieniu do zu-pelnie innych warunków), że: „życie bez pra-cy to przestępstwo, ale praca bez piękna jest zezwierceniem”. Jakże wiele z dra-styczności zawartego w tej myśli problemu jest aktualne dzisiaj w sytuacji środowisk pod względem kulturalnym upośledzonych. Takiemu stanowi rzeczy z uporem przeciw-stawia się grupa aktywnych instruktorów pracujących w „głębokim terenie” i u pod-staw najniższych. TWORZA oni teatr z po-trzeby przyjemności tworzenia sztuki (po-trzebę tę uświadamiają innym), wciągając w tę pracę dzieci, młodzież, dorosłych, pro-ponując właściwy model kultury — kultury czynnej.

W miasteczku Człuchowie, będącym w jakimś sensie także kulturalną pustynią,

istnieje ewidentny, żywy fakt kulturalny, którego znaczenia dla środowiska nie spo-sób przeoczyć — MŁODZIEŻOWY TEATR Miejskiego Ośrodka Kultury.

MDK w Człuchowie nie posiada żadnych pomieszczeń nadających się do tego typu działalności (a więc brak zespołów teatral-nych mógłby być w pełni usprawiedliwio-ny). Mimo to, mając jedynie do dyspozycji kąt w baraku, instruktor Grzegorz Janow-czyk ten teatr tworzy i to z dużym powo-dzeniem.

Grupę stanowią uczniowie miejscowego Liceum Ogólnokształcącego (tym cenniejszy fakt — jako że środowisko szkolne pod względem kontaktów ze sztuką jest szcze-gólnie zaniedbane). Są to: Rafał Krasien-kiewicz, Maciej Stasiak, Maciej Sierant, Jolanta Danek, Mariola Bogucka, Danka Nowicka. W listopadzie ubiegłego roku wy-stąpili z kolejną premierą: „Tamtym razem” — Samuela Becketta (prapremiera polska). W roli głównej — Rafał Krasienkiewicz. Dwa premierowe wieczory (spektakle teatru o-dbywają się w czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej) zgromadziły publiczności o wie-le za dużo jak na możliwości małej salki.

Recepcja trudnej sztuki Becketta była znakomita. W tej konfrontacji upada teza o stopniowaniu trudności propozycji kul-turalnych dla tzw. środowisk nieprzygotowa-nych. „Młodzieżowy Teatr z Człuchowa” to przykład zdrowej kultury tzw. oddolnej, nie przeżartej czymś w rodzaju estradowe-go współzawodnictwa, kokieterii. Ci młodzi ludzie po prostu tworzą sami wybraną przez siebie dziedzinę sztuki, nie czekają aż to za nich zrobią inni. Ich działań nie paraliżuje obawa, że zrobią to na nie dość wysokim poziomie. Są w kulturze czynni, to najważniejsze. Jedno dokonanie stwarza potrzebę następnego. I tak: po Beckettcie rozpoczęli przygotowania „Tryptyku cz. III” — Jerzego Lutawskiego. Jolanta Danek pra-cuje nad monodramem Henryka Bardiew-skiego „Lalki, moje ciche siostry”, a Rafał Krasienkiewicz ma już gotową „Godzinę X” — Jalu Kurka.

Młodzież pracująca w tym teatrze nie stawia sobie żadnych innych celów nad odnajdywanie siebie, szukanie trudnej drogi do innego, lepszego JA. Posługują się lite-raturą, której wybór wypływa ze szczerości zadawanych sobie i innym pytań. To wszystko.

W tym samym baraku, w inne dni tygodnia spotyka się piętnastcosobowa grupa dzieci. Pod kierownictwem instruktorki Wandy Jackowiak także tworzą teatr. Najnowsza propozycja to: „Jak wół do karety.” — Marii Kownackiej. Wszystkie elementy potrzebne do teatralnej realizacji, scenografię, lalki, maski, dzieci przygotowały same. Mają z tego sporą satysfakcję i poczucie doniosłości tego, co robią. Wanda Jackowiak tak organizuje pracę grupy, by stworzyć coś w rodzaju „dziecięcej wspólnoty twórczej”. Stawia przede wszystkim na aktywność i samodzielność twórczą dzieci.

W zasięgu oddziaływania Miejskiego Domu Kultury w Człuchowie od dziesięciu lat nieprzerwanie pracuje Helena Bielecka, prowadząc Klub „Ruch” w PGR Gockowo. Klub w tej małej miejscowości spełnia autentyczną rolę domu kultury. Fascynacja Heleny Bieleckiej to teatr lalkowy, tworzony wspólnie z dziećmi. „Ta praca mnie porywa” — oto jedyny argument na piętrzące się ciągle trudności i pogarszające się warunki pracy. Ostatecznie, gdy dyrektor PGR Gockowo, na którego lasce i niełasce Klub pozostaje, odebrał przestronną salę, w której były znośne warunki do pracy dla dzieci i

zamienił na dyrektorski gabinet, Helena Bielecka pokornie przeniosła swój teatr za szafę w wilgotny kąt małego pomieszczenia, które jej pozostało — i tam, w tym kącie, pracuje nadal. Dzieci przychodzą codziennie, przygotowują lalki, uczą się mówić, uczą się tekstów, opracowują role.

★ ★ ★

Przedstawiłem trzy szkice portretowe postaci ze szpetnym pejzażem w tle. W sytuacji, gdy wokół woła się na alarm w imieniu zagrożonej kultury, fakt istnienia takich ludzi, jak opisani wyżej instruktorzy teatralni z najgłębszego terenu, to, mimo wszystko, nadzieja.

Oni są tym pomostem do najszerzego, powszechnego udziału w kulturze wysokiej, godnej każdego człowieka; bez względu na to, czym się na co dzień zamuje i gdzie przyszło mu żyć.

W przygotowywanych zmianach struktury funkcjonowania kultury w Polsce, preferencje winny być przede wszystkim dla faktów autentycznie twórczych, czyli tych, które swój udział w kształtowaniu wymarzonej przyszłości mają największy.

STANISŁAW MIEDZIEWSKI

KLUBY

Nie od dzisiaj słyszy się opinie, wygłaszane przez działaczy kultury, że od co najmniej dwóch lat coraz gorzej działają wiejskie ośrodki kultury, kluby „Ruch” czy też kluby „Rolnika”. Niepokoją również fakty zaniku w niektórych gminach prężnej dotychczas działalności wielu zespołów ludowych, a najogólniej mówiąc — wiejskiego, amatorskiego ruchu artystycznego. Wskazuje się również na tendencje pozytywne, chociaż całościowa ocena rozwoju kultury wiejskiej jest nadal negatywna.

Przykładem niech tutaj będzie województwo śląskie, gdzie w ostatnich dniach zaczęto już bić na alarm. Wojewódzki Dom Kultury w Ślęsku opracował program poprawy działalności wiejskich klubów: „Ruch” i „Rolnika”. Sprawą zainteresowano wojewodę śląskiego oraz władze polityczne.

Wśród przyczyn regresu kultury wiejskiej w ostatnich latach wymienia się dwie najważniejsze. Pierwsza z nich — ciągły odpływ wykwalifikowanych kadr instruktorskich do szkolnictwa. Powody takich decyzji są bardzo proste. Łatwiej jest bowiem nauczycielowi wiejskiemu uzyskać mieszkanie niż etatowemu działaczowi kultury. Po prostu — prestiż zawodowy tego ostatniego w oczach większości naczelników gmin jest niższy od zawodu nauczycielskiego. A poza tym w grę wchodzi wciąż jednak wyższe płace w szkolnictwie wiejskim niż w kulturze, co nie jest bez znaczenia, szczególnie teraz, w znanej wszystkim kryzysowej sytuacji w kraju.

Drugą przyczyną regresu jest coraz częstsze, od co najmniej dwóch lat, unikanie opieki nad amatorskimi zespołami ludowymi przez zakłady pracy i przedsiębiorstwa rolnicze, które jeszcze do niedawna aktywnie uczestniczyły w procesach kulturotwórczych na wsi. Mówiąc inaczej, gminne spółdzielnie „Samopomoc

Chłopska" czy państwowe gospodarstwa rolne, po wprowadzeniu reformy gospodarczej bardziej zainteresowane są produkcją i handlem, a więc pogonią za zyskiem, niżłożeniem na rozwój kultury. Kulturze wiejskiej nie sprzyja również luka w działalności związków zawodowych, które w przeszłości często hojną ręką dawały pieniądze na jej cele.

Najgorsza sytuacja istnieje w wiejskich „Klubach Rolnika”, podlegających bezpośrednio gminnym spółdzielniom „Samopomoc Chłopska”. Tu finansowanie działalności klubów zależy wyłącznie od decyzji rad nadzorczych tychże placówek. Wystarczy tylko dodać, że w tym roku w województwie śluskim zlikwidowano już siedem „Klubów Rolnika”. Natomiast jako pozytywne przykłady można przytoczyć dobrą działalność tych klubów w Redkowicach i Podgórach. Kluby zamknięte mieściły się w lokalach starych i dzierżawionych, które wymagały dużych nakładów finansowych na kapitalne remonty. Jedynie 15 z 60 istniejących klubów mieści się w samodzielnych budynkach, a pozostałe prowadzą działalność w budynkach wspólnie ze sklepami, zlewniami mleka czy też biurami GS, PGR i SKR. Pozytywnym objawem jest to, że od 1 lipca br. pracownicy „Klubów Rolnika” przeszli na samodzielne etaty. Miejmy nadzieję, że przyczyni się to do uniezależnienia działalności kulturalnej tych placówek od niskich w obecnej, kryzysowej sytuacji, utargów ze sprzedawanej tu herbaty czy kawy.

Nieco lepiej dzieje się w klubach, które podlegają RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Co prawda również i ten gestor zlikwidował w ostatnim czasie dziesięć klubów, a siedem z nich przekwalifikował na punkty sprzedaży detalicznej, jednak od 1 stycznia br. utworzono w RSW w Warszawie centralny fundusz kultury, z którego dofinansowywane są kluby wiejskie, niezależnie od wyników ekonomicznych poszczególnych placówek „Ruch” w terenie. Pozwoliło to m. in. na utworzenie dodatkowego etatu w klubie „Ruch”, etatu tzw. animatora kultury. Są jednak kłopoty z zatrudnieniem osób na tych etatach, skoro wynagrodzenie oferuje się w wysokości... 3—4 tysięcy złotych miesięcznie.

Dodatkowy acz istotny problem stanowi nierównomierne rozmieszczenie klubów „Ruchu” w województwie śluskim. Najwięcej, bo aż 11, działa w gminie Nowa Wieś Lęborska. Takie gminy jak: Rzeczenica, Parchowo czy Konarzyny posiadają tylko po jednym klubie. Ponad 20 tych placówek wymaga kapitalnych remontów. W materiałach Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Śluskach przeczytać można zdanie, że jeżeli chodzi o stan techniczny budynków i pomieszczeń klubowych to: „największe niedomagania w tym zakresie istnieją w klubach będących własnością urzędów gminnych”. Stwierdzenie to powinno dać wiele, „nie tyle do myślenia co do działania”, naczelnikom większości gmin w województwie. Najbardziej optymistyczne w tych moich rozważaniach o klubach na wsi jest jeszcze chyba tylko ich ilość — około 140. Oby nie zmalała.

Najlepsza sytuacja jest w pionie państwowym wiejskiej kultury, a więc w gminnych ośrodkach kultury i wiejskich domach kultury. W tym roku Wojewódzkie władze kulturalne otrzymały dwukrotnie większe środki finansowe na ten cel. Zwiększyły się nareszcie, średnio o 7 tys. złotych, płace etatowych pracowników GOK-ów. Powiększono również ilość etatów. Są pozytywne przykłady prężnej działalności wiejskich i gminnych ośrodków kultury, by wymienić choćby Nową Wieś Lęborską, Wrześnicę, gminę Ustka (tutaj zwłaszcza Zaleskie) czy Stowęcino. Są jednak i dwie „białe plamy” na mapie kulturalnej województwa — gminy: Damnica i Lipnica, gdzie brak placówek kulturalnych. Godnym podkreślenia jest fakt zagospodarowania nowego, dużego obiektu kulturalnego będącego własnością Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Sycewicach, Jeszcze nie tak dawno PGR

nie za bardzo interesowało się tym obiektem. Obecnie wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki przedsiębiorstwo zagospodarowało budynek, tworząc Gminno-Zakładowy Ośrodek Kultury. Eaty dla pracowników ośrodka znalazły się zarówno ze strony PGR jak i wydziału kultury.

Tych pozytywnych przykładów wspólnego łączenia sił dla dobra wiejskiej kultury jest wciąż bardzo mało. W wielu gminach, niestety, nie ma pełnego zrozumienia dla spraw kultury ani ze strony naczelników, ani ze strony przedsiębiorstw rolnych. A nadszedł już chyba czas, by rozumiano wreszcie, że kultura nie jest czymś wymysłem i dodatkiem do innych dziedzin życia społecznego, lecz jego niezbędnym, integralnym składnikiem.

BOGUSŁAW MATUSZKIEWICZ

LESZEK BAKUŁA

Do widzenia młody poeto...!

Spotkania autorskie czy spotkania pisarzy z czytelnikami? Obie nazwy mają swoje uzasadnienie. Jeżeli rozumieć je dosłownie, to każdy pisarz pragnąłby spotkania ze swymi czytelnikami. Niestety, jakże często jest to niemożliwe z różnych powodów. Pierwszym z nich to ten, że akurat autor jest zbyt mało znanym pisarzem, mającym nieduży dorobek, co powoduje, że nie zna go powszechna społeczność czytelnicza. Drugi powód, odnoszący się głównie do poetów, zależy od tego, że nakłady tomików poetyckich są bardzo małe. Docierają tylko do niewielkich grup zainteresowanych. Najbardziej jednak boli pisarza to, że spotyka się on z publicznością, która w ogóle nie czyta książek. Tu pisarz czuje się czasem bezradny. Niewiele może wpłynąć na wartość spotkania. Ale nawet wtedy może się zdarzyć, że nieznanemu słuchaczom autor potrafi przekazać ciekawe myśli, zachęcić do czytania literatury.

Powstaje zatem pytanie, kiedy spotkanie pisarza z publicznością jest nieudane? Przede wszystkim wtedy, gdy sam pisarz nie umie zaciekawić. Są bowiem nawet dobrzy, wybitni pisarze, którzy nie mają swady, werwy, nie są dobrymi mówcami czy rozmówcami. Bywa, że pisarze z małym dorobkiem miewają dobre spotkania, bo są świetnymi mówcami czy gawędziarzami, poruszają ważne kwestie.

Można więc zaryzykować twierdzenie, że spotkanie z pisarzem ma prawie zawsze jakąś wartość społeczną. Twórcą spotkania są obie strony — pisarz i słuchacz, czytelnik. Łączy ich tu wzajemne, aktywne uczestnictwo.

Były czasy, że pisarzy w terenie witały jakieś władze. W tym miał się między innymi wyrażać mecenat nad twórczością. Czasy te stopniowo odchodziły w przeszłość. Dziś takie praktyki należą do rzadkości. Ale sami pisarze nie byli nimi zachwyceni. Trzeba żałować innej dobrej praktyki — „pilotowania” pisarza na każde spotkanie przez panie z bibliotek itp. Dziś należy to do rzadkości u nas, chyba że jest to gość zaproszony spoza województwa. Ogólnie rzecz biorąc ważna jest dobra organizacja spotkań. Warto podkreślić, że w niedawno odbytych imprezach — Październik Literacki i listopadowa — Dekada Książki Społeczno-Politycznej — organizacja spotkań była dobra, oczywiście, jak zawsze, z pewnymi wyjątkami. Szczególnie udawały się spotkania w szkołach średnich, ale i w podstawowych. Jestem bardzo zadowolony ze spotkań w Cieluchowie; w Szkole Podstawowej nr 3 oraz w Zespole Szkół Ogólnokształcących. Inne moje spotkania np. w szkołach Słupska też bardzo miłe wspominam.

Najbardziej jestem zainteresowany psychologiczną i obyczajową stroną spotkań autorskich. Kiedy w 1933 roku wydałem swoją pierwszą książkę, tomik wierszy „Leluje”, wkrótce miałem swoje pierwsze, samodzielne spotkanie autorskie na wsi białostockiej. Po spotkaniu czekałem na pociąg, który przystawał na tym przystanku wiejskim. Siedziałem już w wagonie i nagle widzę przez otwarte okno, że przez łąkę, bardzo kwiatną, biegnie dorosła dziewczyna, która trzyma w ręku bukiet polnych kwiatów. Widzi to również maszynista, który zwleka z puszczaniem pociągu w ruch. Dziewczyna podbiega do podjazdu. Przez okno wręcza mi kwiaty i wykrzykuje: do widzenia młody poeto! Pociąg rusza. Żegnamy się wzajem uśmiechami. Przypominam sobie, że w spotkaniu nie brała udziału w dyskusji. Dlaczego tak dziwnie pięknie postąpiła? Czy tylko dlatego, żeby mnie poznać osobiście. Nie wymieniliśmy adresów. Następnie przyszła pewna gorycz. Pomyślałem sobie: młody 38 letni poeta. Czyżby więc z tej strony piękna ironia? Zakładam jednak, że jej czyn został wywołany jakimś wzruszeniem wynikłym z moich wierszy. A może w takich zjawiskach leży sens główny spotkań autorskich z pisarzami?!

NA KASZUBACH

URSZULA
MACZKA

NA KASZUBACH

Reformacji blaski i cienie

W 1983 roku przypada 500-lecie urodzin Marcina Lutra, reformatora i teoretyka religijnego. Liczne wydawnictwa zagraniczne, szczególnie niemieckie, publikują jego „definitywną” biografię. Marcin Luter jest w niej postacią dobrze poznaną, mało kontrowersyjną. Taka jednomyślnieść zdarza się raczej rzadko. Postanowiłam więc wybrać z wielu ciekawych spraw najbardziej nas interesujące.

Marcin Luter, początkowo zakonnik — augustinianin, dokończył teologię, łamiąc śluby zakonne i „wyciąga” z klasztoru (przyszłą żonę) zakonnicę Katarzynę Borę. Działalność reformatorską rozpoczyna w 1517 roku od ogłoszenia w Wittenberdze słynnych 95 tez potępiających przede wszystkim praktykę sprzedaży odpustów. Wywołana tym wystąpieniem polemika z udziałem naukowców, papieża i Soboru doprowadziła w 1521 roku do klątwy papieskiej i banicji Lutra. Ukrywał się on początkowo na zamku „Wartburg” u elektora saskiego, gdzie m. in. dokonał przekładu Biblii na język niemiecki.

Zwycięstwo luteranizmu w Niemczech, poparte przez wojnę chłopską w 1525 roku, uwiecznione zostało augsburskim pokojem religijnym w 1555 roku według zasady: „cuius regio, eius religio” (czyj kraj, tego wyznanie). Tym samym został prawnie uznany wyznaniowy podział Niemiec z podporządkowaniem organizacji kościoła luteranckiego władzy świeckiej, co spowodowało wzrost znaczenia książąt terytorialnych. Pokój religijny w Niemczech utrzymał się do wybuchu „wojny 30-letniej” w 1618 roku.

Z Niemiec ruch reformacyjny rozszerzył się m. in. na kraje skandynawskie (gdzie stał się religią panującą), do Francji, Czech, Węgier, a także do Polski, tworząc podstawę doktrynalną kościoła ewangelicko-augsburskiego. Reformacja oderwała od kościoła katolickiego 1/3 Europy, głosząc nawrót do „pierwotnego chrześcijaństwa”.

Ruch reformacyjny na Pomorzu Zachodnim, oznaczający, tak jak w całej Europie, ożywienie w wielu dziedzinach życia, był w początkowej fazie przede wszystkim ruchem politycznym i ekonomicznym, a nie okazją do religijnej kontemplacji. Propagatorami nowych idei byli wędrujący studenci i rzemieślnicy pochodzenia niemieckiego, natomiast główną bazą społeczną reformacji zostali książęta pomorscy. Po śmierci Jerzego I w 1531 roku, Barnim IX opowiedział się otwarcie po stronie reformacji. W następstwie tego dokonano oficjalnego wprowadzenia reformacji na „sejmie trzebiatowskim” w 1534 roku.

Nowe stosunki kościelne zapewniały książętom pomorskim przede wszystkim udział w dysponowaniu majątkiem kościelnym, co oznaczało automatyczny wzrost dochodów. Chodziło nie tylko o sekularyzację dóbr klasztornych, które zostały włączone do obszaru domen książęcych. Największe korzyści materialne z wprowadzenia reformacji wyciągnęli książęta pomorscy z samego dominium biskupstwa kamińskiego, którego powierzchnia szacowana jest na 1/6 całego terytorium Pomorza Zachodniego. Również miasta Kołobrzeg, Koszalin, Bobolice i Karlino znajdowały się w bezpośrednim władaniu biskupów kamińskich. W związku z wprowadzeniem reformacji kościół katolicki utracił tzw. dziesięciny ulśczone przez wiernych. Poważnym źródłem wpływów na rzecz książąt pomorskich było również dotychczasowe sądownictwo kościelne.

Reformacja rozwijała się również wśród mieszczaństwa, szczególnie niemieckiego pochodzenia oraz części szlachty pomorskiej. Natomiast ludność wiejska nie zainteresowała się nowymi prądami religijnymi. Na skutek „pokoju augsburskiego” musiała jednak przyjąć religię swych panów — książąt pomorskich. Kiedy po wojnie chłopskiej (1525) wysuwała żądania naruszające panujący porządek społeczny, zmobilizowało to przeciw niej również feudałów luteranckich. Reformatorzy nie walczyli o równouprawnienie chłopów i „pospólstwa” z przywilejowanymi warstwami. Tym samym nie udało się przerzucić pomostu między surową przeszłością a gorzką rzeczywistością.

(24 III 1983), A. Ratusiński (10 VI 1983), P. Paleczny (24 VI 1983). Nie można być jednak pewnym udziału tych solistów w koncertach SOK, skoro już na początku sezonu odnotowaliśmy kilka zmian i odwołań. Nie odbyły się np. koncerty: Ewy Podleś (sopran), koncert na trzy fortepiany (zapowiedziany na 18 XI 1982).

Ogólnie rzecz biorąc, odnosi się wrażenie, że sami organizatorzy niezbyt poważnie traktują opracowany przez siebie program koncertów na nowy sezon muzyczny.

Nie wszystkie jednak koncerty, moim zdaniem, były przygotowane z należytą starannością i szacunkiem dla słuchaczy. Na ich poziomie wyraźnie odbijają się stałe zmiany w składzie kwintetu smyczkowego oraz brak stałego, codziennego nadzoru nad pracą zespołu. Zdecydowanie nieudany był koncert z dnia 3 grudnia 1982 roku. Na przykładzie tego koncertu rodzi się pytanie: jakimi kryteriami kierują się organizatorzy, zapraszając na występ takich wykonawców jak pan Józef Kański?

Mówiąc o rozwoju ruchu muzycznego w Słup-



Jak już wspominałem, niektóre z zapowiedzianych pozycji zostały już zrealizowane. Spotkały się one z dużym zainteresowaniem słuchaczy. Do tych koncertów zaliczyć można: „Podwójny koncert na wiolonczelę i fortepian” — E. Głowskiego w wykonaniu młodych artystów z Gdańska (K. Sperski — wiolonczela, A. Prąbucka — fortepian), baśń symfoniczną S. Prokofiewa „Piotruś i Wilk”, koncert muzyki rozrywkowej. Szkoda tylko, że ta ostatnia pozycja wzmocniona została głościami do tego stopnia, że nie wszyscy mogli wysłuchać jej do końca. Czyżby tego rodzaju muzyka przestała być interesująca bez decybeli niszczących słuch muzyczny? Natomiast wspaniałą baśń symfoniczną S. Prokofiewa „Piotruś i Wilk” należałoby powtórzyć w normalnym programie piątkowym. Sądzę, że znalazłoby się jeszcze wielu chętnych do wysłuchania tego wspaniałego dzieła muzycznego.

sku nie można pominąć ważnego wydarzenia, jakim było oddanie 28 kwietnia ub. roku do użytku publicznego odrestaurowanej w Zespole Szkół Muzycznych w Słupsku sali kameralnej, która otrzymała nazwę „Sali kameralnej im. Karola Szymanowskiego”. Tym podniosłym wydarzeniem uczczono pamięć naszego wielkiego kompozytora. Uroczystość została połączona z koncertem w wykonaniu uczniów ZSM. Nareszcie słupska szkoła muzyczna uzyskała dla swej pracy odpowiedni „warsztat muzyczny”, a społeczeństwo miasta Słupska jeszcze jedną estradę muzyczną, na której do chwili obecnej zaprezentowało się kilka świetnych zespołów i solistów.

Wymienić tu można także udane imprezy muzyczne jak występy: zespołu folklorystycznego „Viola” z Miskolca (Węgry) czy kwartetu smyczkowego „Varsovia”.

Obok wymienionych imprez, które cieszyły

się dużym zainteresowaniem słuchaczy, odbył się recital młodego pianisty japońskiego — Keri Nakono. Ta ostatnia impreza była pierwszą z cyklu koncertów organizowanych dla mieszkańców Słupska przez Słupskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, sekcję muzyki pod kierownictwem mgr Heleny Bezeg. Stuprocentowa frekwencja na wymienionych imprezach daje nadzieję na przyszłość, że z czasem mieszkańcy takich dzielnic jak: Zatorze, Osiedle Piastów, Budowniczych PRL coraz częściej będą gośćmi sali kameralnej im. Karola Szymanowskiego przy ZSM w Słupsku.

Prawdziwym jednak „gwoździem sezonu” był występ zespołu kameralnego Jerzego Maksymiuka. Był to koncert, o którym wyrażać się

można jedynie w superlatywach. Swoboda, lekkość, precyzja, brzmienie, muzykalność — wszystko najwyższej jakości. Wielkie brawa należą się Wydziałowi Kultury UW za sprowadzenie tego zespołu na nasz teren. Okazuje się, że nawet bez specjalnej reklamy i zaproszeń można w stu procentach wypełnić salę przy ulicy Wałowej, pod jednym wszakże warunkiem, że wystąpią tej klasy muzycy i tej klasy dyrygent — jakich mieliśmy okazję zobaczyć i usłyszeć. Występ tego kwintetu smyczkowego, tak przecież nielicznego (znacznie mniejszego od SOK'u) powinien stać się dopingiem dla wszystkich, którym na sercu leży stały wzrost poziomu wykonawstwa muzycznego w naszym mieście.

Marian Łucki



Zmarł ks. dr Bernard Sychta

29 listopada 1982 roku Polska Agencja Prasowa z Gdańska przekazała następującą wiadomość.

...W Pelplinie (woj. gdańskie) zmarł ksiądz dr Bernard Sychta, wybitny uczonec — językoznawca, etnograf, historyk kultury. Był autorem monumentalnych dzieł: „Słownika Gwar Kaszubskich” oraz „Słownika Ziemi Kociewskiej” a także wielu innych prac dotyczących Pomorza. Swoimi dziełami (gdyż był on również malarzem, prozaikiem, poetą) wzbogacił naszą wiedzę o mowie i kulturze dwóch regionów północnej Polski — Kaszub i Kociewia. Był laureatem wielu nagród naukowych, Doktorem Honoris Causa Uniwersytetu Gdańskiego i honorowym członkiem Gdańskiego Towarzystwa Naukowego...

Tyle agencyjny komunikat.

„Słownik Gwar Kaszubskich na tle kultury ludowej” jest dziełem o wielkiej wadze dla językoznawstwa słowiańskiego i polskiej etnografii. Żadna z gwar, nie tylko w Polsce, nie posiada tak wielostronnego opracowania. Dzieła tego, zawierającego ponad 25 tys. haseł, dokonał jeden człowiek — zastępując swym talentem i pracowitością całą instytucję. Jak zgodnie stwierdzają naukowcy, ta praca Bernarda Sychty może być porównana jedynie z dokonaniem Samuela Bogumiła Lindego — twórcy „Słownika Języka Polskiego”.

Bernard Sychta pochodził z kaszubskiej wsi Puzdrowo w powiecie kartuskim.

(wa)

Wyznanie św. Samuela B.

Wczesna twórczość Samuela Becketta, irlandzkiego protestanta urodzonego w Dublinie, lektora języka angielskiego w École Normale Supérieure w Paryżu, docenta Katedry Języków Romańskich w Trinity College, sekretarza Jamesa Joyca, laureata Nagrody Nobla, prozaika i dramaturga, powstawała w języku angielskim. Swoje jednak zasadnicze dzieło sformułował Beckett po francusku: „*en français c'est plus facile d'écrire sans style*” powiedział w jednym z wywiadów. „*Po francusku jest łatwiej pisać bez stylu*”. Kogo innego można by pomówić o kokieterii, ale nie Becketta, który literaturę i pisanie traktuje najpoważniej na świecie. Niedawno otrzymaliśmy nareszcie Samuela Becketta *Pisma prozą**. Pomijając jego tak głośne sztuki teatralne jak *Czekając na Godota* i *Końcówkę* (tę ostatnią kreowała wybitnie Maja Komorowska) i majowy numer *Literatury na świecie* z 1975 roku, jest to właściwie pierwsza publikacja wyboru 3 dzieł jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnego świata. Pisarza, który rozpoznanie kondycji ludzkiej, wydaje się, przesunął poza granicę poznania. Nie od rzeczy będzie więc postawić pytanie: czy nie mógł osiągnąć tego samego, gdyby pisał po angielsku? Można, tyle tylko, że wszelkie pytania typu, co byłoby gdyby, w przypadku sztuki, a przede wszystkim literatury, raczej są pozbawione sensu. Becketta bowiem peregrynacje w głąb człowieka są jakby pozbawione piękna stylu, piętna języka z całym jego wyuzdaniem i bogactwem znaczeń. Są to peregrynacje surowe, powściągliwe, ascetyczne i doskonałe precyzyjne.

Autor posłowania Antoni Libera wynosi Becketta na ołtarze literatury, stawiając go w rzędzie świętych patronów tejże, tuż obok Dantego Alighieri. I chyba się nie myli. Żaden bowiem z pisarzy nie posunął się tak głęboko w badaniu ludzkiego bytu od czasów Dantego, co właśnie Beckett. O ile jednak Dante poszukiwał treści ludzkiego bytu w Istocie, poszukiwał rozwiązania ontologicznej zagadki i odnajdował ją w Bogu, więc w *miłości miłości*, wreszcie w tym, co Tomasz z Akwinu nazywał *compositum humanum* (złożeniem ludzkim), substancjonalną niekompletnością duszy i ciała, o tyle Beckett odrzuca jakąkolwiek złożoność. On odwarstwia człowieka od rzeczywistości, odziera z niego rzeczy i zjawiska, a czyni to dlatego, aby udowodnić, że człowiek jest tylko fazą pomiędzy nicością a nicością. Nie od rzeczy przecież jest Beckett wyznawcą Demokryta z Abdera i jego maksymy: „*Nic nie jest bardziej rzeczywiste niż nic*”. Tym sposobem Samuel Beckett zaprzecza jednocześnie transcendencji i immanencji.

Położenie powyższej uwagi wydało się konieczne, aby zrozumieć cel i sens pracy Becketta. Odrzucając wszystko, co w pisarstwie przypadkowe, choć kuszące, a przez to zwodnicze, więc opis, przymiotnikowość zdarzeń i sytuacji, pozorne i łatwe psychologizowanie, pisarz dociera do jądra egzystencjalnego, do właśnie nicości, która — podoba nam się to czy nie — jest przecież także kategorią moralną. Związane jednak jest to z językiem jako środkiem wyrazu z jednej strony i porozumienia z drugiej. Pisać zatem po francusku oznacza dla Becketta pisać w języku *obcym*, czyli siłą rzeczy nie rozpoznanym do końca. Znaczy to również poruszać się w kręgu znaczeń najprostszych, choć przez swą pozorną jednoznaczność absolutnie niejednoznacznych. Ale oczywiście nie ma to żadnego związku z kreacją symboliczną, gdyż symbolizm dla Becketta jest tworem równie fałszywym jak realizm czy naturalizm. Dla niego więc najważniejsze jest wyrazić niewyraźne, napisać nienapisywalne, przekazać nieprzekazywalne. Stąd też owa, na pierwszy rzut

oka, nieczytelność beckettowskiej narracji, rozmazanie intencji, chropowatość stylu i języka.

Zamiast jednak spodziewanego chaosu myśli, intencjonalnej niezborczości między tym co fabularne, a co afabularne, znajdujemy się w idealnie skonstruowanym, chciałoby się rzec, nieludzkim, lecz boskim porządku świata, gdzie miejsce chaosu zajmuje — jeśli można to tak sformułować — nicosć.

Owe piętnaście tekstów prozą Samuela Becketta, to piętnaście wyznań proroka nicosci. Ich nikła fabuła jest tylko punktem wyjścia, ledwie zaznaczonym tropem, który ma nas powieść w głąb świadomości ludzkiego dobra i zła. Dlatego nie waham się przypisać Beckettowi miana jednego z największych moralistów, jakich wydała ludzkość. Widzieć człowieka katastroficznego, to odwaga na jaką zdobyć się może tylko ten, kto potrafi właśnie przez negację dostrzec w człowieku dobro najwyższe i jedyne. A dobrem tym jest właśnie byt, owa doraźność życia, przed którą i po której instnieje nic: „...jedynym sposobem, w jaki można mówić o niczym, jest mówienie o tym tak, jak gdyby było czymś, podobnie jak jedynym sposobem mówienia o Bogu jest mówienie o nim tak, jakby był człowiekiem, czyli tym, kim z pewnością był niegdyś przez jakiś czas, i tak samo, jak jedynym sposobem mówienia o człowieku, nawet nasi antropologowie zdają sobie z tego sprawę, jest mówienie o nim tak, jak gdyby był owadem.” (Watt).

I bohaterowie Becketta mówią głosami sterylnymi. Mówią do siebie i przez siebie. Ich ciała i myśli przenikając się wzajemnie przenikają do i z rzeczywistości. Są częstką kosmosu, częstką odwiecznego ładu, jednakowoż z zastrzeżeniem, iż jest porządek ruin. Analiza i samoanaliza to cechy wybijające się spoza słów na powierzchnię beckettowskich narracji. Jego bohater, bo w gruncie rzeczy jest to tylko jeden bohater rozpisany na wielkość głosów, pełni i gra jednocześnie rolę antybohatera. Mając zdolność utożsamiania się ze wszystkimi sam pozbawiony jest tożsamości ze sobą samym.

Pisarstwo to źle służy poduszce, ale też nie z myślą o niej jest tworzone. Ktoś, kto chce obcować ze świętymi musi umieć widzieć idee przedmiotów nie zaś same przedmioty, idee ludzi wyraźniej niżli samych ludzi. Sam pelen pokory i uwzniośloniej ascezy Samuel Beckett od swych czytelników i wyznawców wymaga tej samej pokory i ascezy, umiejętności łączenia prawdopodobnego z nieprawdopodobnym, istniejącego z nieistniejącym. Jest to, jakby nie patrzeć, literatura walki o piękno podstawowe, o piękno prawdy. Prawdy o człowieku nagim. Taki zaś pisarz nie oczekuje pospolitego uznania ani klaki. Przychodzi skupiony, gorzki, niekiedy sardoniczny, czasami okrutny, bowiem prawdy i wyznania, które głosi, są niemniej gorzkie, bolesne i okrutne. Jest pisarzem, którego można albo w całości akceptować, albo w całości odrzucić. Innej ewentualności po prostu nie ma i być nie może.

Ow maksymalizm założony przez Becketta zogniskował się w arcydziele pt. Bez, krótkim tekście napisanym w 1969 roku. Szczegółową jego analizę czytelnik znajdzie w eseju Antoniego Libery zamieszczonym właśnie w omawianym wyborze prozy Samuela Becketta. Esej ten wprowadza czytelnika w świat intencji, filozofii i estetyki pisarza, będąc zarazem jednym z większych i poważniejszych dokonań na gruncie beckettystyki polskiej.

Przy okazji myślę, że czas najwyższy byłoby dokonać przekładu i opublikowania kanonu dzieł Samuela Becketta, a w pierwszym rzędzie: *Murphy'ego*, *Molloy'a*, *Malone umiera* (*Malone merut*), *Nienazwyczajnego* i *Tekstów po nic* (*Textes pour rien*), że nie wspomnę już o poezji, teatraliach i eseistyce. Moim zdaniem jest to sprawa o pierwszorzędny znaczeniu dla stanu światopoglądu literatury polskiej.

Andrzej Turczyński

*) Samuel Beckett. Pisma Proza; Przekład: Antoni Libera, Piotr Kamiński. Czytelnik. Warszawa 1982.

Sztuka podziwu godną żarliwością ideową przepojona

Tak — najzwyczajniej i najdosadniej — można by scharakteryzować twórczość rzeszowskiej plastyczki Jolanty Jakimy-Żerek, której obrazy eksponowane były od połowy listopada do 10 grudnia ub. r. w galerii słupskiego BWA (w „Bazisie Czarownic” przy ulicy Francesco Nullo 13).

To już trzeci — na przestrzeni minionych sześciu lat — pokaz dorobku warsztatowego tej artystki w Słupsku. Po raz pierwszy zaprezentowała jego mieszkańcom parę swoich realizacji w roku 1976, w ramach ogólnopolskiej wystawy konkursowej pod nazwą „Sport w sztuce”. Bliżej dała się poznać miłośnikom plastyki z miasta nad Słupią w 1978 r., przy okazji indywidualnej wystawy rysunku w „Nowej Bramie”. Półtora miesiąca temu zjechała na spotkania z zaprzyjaźnionymi słupszczanami z zestawem najnowszych swych kompozycji malarskich.

Słowo o autorce. Należy do grona twórców średniej generacji (dyplom w r. 1968). Studiowała — w łódzkiej PWSSP — na unikalnym wydziale ubioru. Stąd jej zainteresowanie wzornictwem przemysłowym, zwłaszcza tekstylno-odzieżowym oraz rysunkiem żurnalowym. Głównie, ale nie jedynie. Zajmuje się bowiem również, i to z niemałym powodzeniem, malarstwem olejnym i akwarelowym, grafiką, plakatem, ba! nawet rzeźbą i... fotografią artystyczną.

Znamionuje ją zadziwiająca wręcz żywotność. Uczestniczy niemal we wszystkich znaczących plenerach plastycznych z wyjątkiem... osiecko-koszalińskiego. Bierze udział prawie w każdym konkursie o zasięgu ogólnopolskim (wyniosła z nich łącznie aż 24 nagrody i wyróżnienia). Ma na swoim koncie 111(!) indywidualnych i zbiorowych pokazów w kraju i za granicą, m. in. w ZSRR, Czechosłowacji, Bułgarii, Austrii, we Włoszech. Tworzy tak intensywnie, że... sama nie zdołałaby dziś zapewne ustalić dokładnej liczby wykonanych przez siebie dzieł.

Skoro już o dziełach Jakimy-Żerek mowa. Najczęstsze ich motywy: człowiek, praca, przyroda (kwiaty polskie), muzyka, sport, morze, wieś, batalistka oraz walka o pokój, postęp, sprawiedliwość społeczną i przyjaźń między narodami. Przede wszystkim człowiek. Osadzony w realiach współczesności. Rozkochany w swym ojczystym

kraju. Zaangażowany czynnie w upowszechnianie i obronę naszych socjalistycznych racji ustrojowych. Oto — dla przykładu — charakterystyczne konkursy, w których artystka odnosila największe sukcesy: „W 30 lat po zwycięstwie nad faszyzmem”, „Przeciw wojnie”, „Ludzie pracy, nauki, kultury i sztuki w 35-leciu PRL”, „Człowiek — Praca — Sztuka”, „PPR — droga walki i zwycięstwa”, „Plastyka na zamówienie społeczne: „CZŁOWIEK”, „Krajobraz — Ludzie — Idee”, „Kraj i jego ludzie”, „O Złoty Lemiesz”, „O Złotą Lampę Górnica”, „Wizerunek człowieka współczesnego”, „Portret współczesności”, „Drużba — Przyjaźń”.

Takimi właśnie — niezwykle sugestywnymi, autentycznym życiem pulsującymi, na wskroś humanistycznymi i podziwu godną żarliwością ideową przepojonymi — jawiły się widzowi obrazy demonstrowane na słupskiej wystawie: „Barykady”, „Siedemnasty dzień budowy”, „Skansen”, „Lato w mieście”, „Stado”, „Prostownienie drzewa”, „Ostre hamowanie” i in. Zmuszały wprost do pochylenia się nad nimi z nieklamany uznaniem i wzruszeniem.

★ ★ ★

Wart obejrzenia był — moim zdaniem — także pokaz grafiki, zorganizowany przez BWA w czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy placu Armii Czerwonej 18.

Pokaz ów stanowił swego rodzaju „wizytówkę” poznańsko-leszczyńskiego środowiska plastycznego, reprezentowanego przez Irminę Felińską, Izabelę Gustowską, Krystynę Piotrowską, Jana Berdyszaka, Jana Dążkiewicza, Wojciecha Müllera, Włodzimierza Papłę, Jerzego Rybarczyka i Bogdana Winkiela (o Janie Hrycku nie wspominać, bo — jako rodowity łódzianin — znalazł się on w tej grupie z absolutnie niezrozumiałych dla mnie powodów).

Czy ciekawą? Z całą pewnością tak, mimo że nie wszyscy autorzy i nie wszystkie z 21 udostępnionych zwiedzającym prac dały przygodę ze sztuką przez duże „S”. Ekspozycja umożliwiła wszak tzw. przeciętnemu odbiorcy przeszedzenie dość szerokiej gamy technik graficznych (litografia, serigrafia, autochemigrafia, linoryt barwny, offset, autooffset i in.). Obrazowała różne

formy zapisu artystycznego (miniatury 30×30 cm J. Rybarczyka, „standardy” 60×45—70×50 cm K. Piotrowskiej i J. Dążkiewicz, rozbudowane opowiadania lub przestania o wymiarach 100×70 cm I. Felińskiej, I. Gustowskiej, W. Müllera, W. Papli). Przybliżała — jakże licznym tu osiedleńcom z Poznńskiego — wielkopolski pejzaż („Rogalińskie dęby” — Rybarczyka). Prowokowała wreszcie do głębokiej zadumy i refleksji nad imponującymi naszymu ziemskiego bytowania („Listy I i III” —

Felińskiej, „Względne cechy podobieństwa” — Gustowskiej, „Milczenie IV” — Berdyszaka, „Podziały” — Dążkiewicz, „Pewność”, „Drgnięcie” i „Powrót” — Müllera, „Być I i II” — Papli, „Spokojny lot” i „Labirynt” — Winkla).

Dostateczny chyba asumpt do odnotowania wystawy po stronie bezspornych aktywów BWA i KMPIK.

JERZY R. LISSOWSKI

KULTURA W PLENERZE

W klubie ośrodka wczasowego w Jasieniu spotkali się wyróżnieni organizatorzy XVII Konkursu „Zielonych Świećlic” i Działalności Plenerowej, który w okresie 1.5.1982 roku do 30.10.82 r. był prowadzony przez Lęborski Miejski Ośrodek Kultury przy współudziale RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Pierwsze miejsce zdobyli: „Klub Rolnika” w Redkowicach i świetlica PGR w Charbrowie.

W ramach konkursu, którego celem jest aktywizowanie środowiska do działalności kulturalnej w plenerze, odbyło się kilka imprez. Lęborskie „Zielone Świećlice” urządziło czynnem społecznym w Roszczycach, Charbrowie, Redkowicach, Pogorzewie, Pogorzeliach i w kilkudziesięciu innych wsiach. Te plenerowe „placówki” k-o posiadają estrady, stoły i stoliki z pierścieniami, parkiety taneczne, kioski, są upiękzone klombami, a wieczorem oświetlone kolorowymi lampkami. Nad niektórymi parkietami tanecznymi zrobiono kolorowe dachy z przezroczystego tworzywa.

Porad w urządzaniu „Zielonych Świećlic” udzielał tygodnik „Echo Lęborskie”, a także kolorowy film nakręcony przez zespół Lęborskiego Domu Kultury. W celu odpowiedniego przygotowania działaczy do realizacji zadań Konkursu „Zielonych Świećlic” i Działalności Plenerowej w okresie wiosny ubiegłego roku MOK i Lęborski Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” przeprowadziły trzydniową kursokonferencję na temat działalności kulturalnej w plenerze.

Wśród imprez, które zostały przeprowadzone w 1982 roku, szczególnym zainteresowaniem cieszyły się barwne „sobótki”, biwaki, festyny z okazji Dni Oświaty Książki i Prasy, motocyklowe, rowerowe i piesze wycieczki pod nazwą „Gdy kwitną bzy”, a także międzyklubowe, młodzieżowe i międzygminne „Zielone Turnieje”. Były one podsumowaniem kilkumiesięcznej plenerowej działalności. Aby w nich uczestniczyć, trzeba było zdobyć wiele nowych wiadomości, brać udział w zajęciach zarówno oświatowych, jak i sportowych.

„Żelaznym” punktem programów były zgadugi-zgadule. W czerwcu — o tematyce morskiej, w lipcu — historii PRL, we wrześniu — na temat drugiej wojny światowej i pn. „Co wiesz o ZSRR”. Aby uczestniczyć w turniejowych zgadugi-zgadulach, trzeba było wykazać się sporym zasobem wiadomości. Zdobywać je można było właśnie na zajęciach oświatowych, a także poprzez czytanie prasy, oglądanie telewizji i słuchanie radia. Przygotowania wymagały też występy zespołów artystycznych i

od ich pracy przed turniejami zależał nieraz ostateczny wynik konkurencji.

Do tradycyjnych punktów programu należały: jazda sprawnościowa na rowerach i motocyklach, konna jazda na oklep. W tych konkurencjach, wymagających dużej sprawności fizycznej, brali udział nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Długo można by wyliczać inne konkurencje: szachy, warcaby, tenis stołowy, przeciąganie liny, zawody drużyn OSP, konkursy układania bukietów kwiatowych. Oprócz tradycyjnych konkursów były też nowe, np. strój turystyczny. Aby zwyciężyć, trzeba było wykazać się umiejętnością dobrania ubioru jak najbardziej estetycznego, ale i praktycznego zarazem. Turnieje były tak pomyślane, by mogli w nich uczestniczyć i młodzi, i starsi.

„Zielone Turnieje”, jako przykład dobrej roboty, wspomagają wysiłki w szerzeniu oświaty i kultury, w podnoszeniu sprawności fizycznej mieszkańców. Każdy następny turniej przynosił lepsze wyniki. Starali się wszyscy. Wystarczyło zobaczyć napięte twarze zawodników, tży w ich oczach, jeśli „coś nie wyszło”, usłyszeć gremialny doping kibiców, przyrzeczenie pokonanych: — zobaczcie za rok, na rewanżu...

„Zielone Turnieje” miały jeszcze inną zaletę. Przyczyniały się do estetyzacji wsi, z czym nie jest przecież u nas najlepiej. Porządkowano obejścia, sadzono kwiaty, zakładano trawniki, aby pokazać się gościom z jak najlepszej strony. Goście przyjeżdżali, oglądali i mówili: przyjdźcie do nas na rewanż, to dopiero zobaczycie, gdzie ładniej. I jeszcze staranniej porządkowali swoje obejścia. A co zasługiwało na szczególną uwagę — to sama walka. Jest ona zacięta, ale zawsze honorowa i bezinteresowna.

W czasie spotkania w Jasieniu, podsumowującego tegoroczny Konkurs „Zielonych Świećlic” i Działalności Plenerowej, po wymianie doświadczeń, zwycięzcy i najbardziej aktywni organizatorzy otrzymali dyplomy i nagrody. Na zakończenie odbyła się impreza pod nazwą „Gwiazdkowy Upominek”, w trakcie której, zgodnie z siedemnastoletnią tradycją, „Królowa Zima” wręczała upominki, a artyści z Opery Bałtyckiej w Gdańsku i Teatru Muzycznego w Gdyni zaprezentowali piękny program artystyczny.

ZENON SOBECKI

Z okazji

Nowego Roku

czytelnikom „Gryfa”
składamy
życzenia wszelkiej pomyślności

Kolegium i Zespół Redakcyjny

25 lat...

Z końcem ubiegłego roku naszemu koledze po piórze Jerzemu Lissowskiemu, redaktorowi „Głosu Pomorza”, zarazem przewodniczącemu naszego kolegium redakcyjnego „Gryfa” wybiło — jak się mówi — 25 lat aktywnej pracy publicystycznej.

Zaczął to swoje pisanie, jak większość z nas, w okresie studiów wyższych. Było to w Lublinie, a swoją tematykę młodzieżową przedstawiał student Lissowski na łamach „Sztandaru Ludu” i „Kuriera Lubelskiego”. W tymże „Kurierku” jako popołudniowiec powierzono mu obowiązki redaktora naczelnego „Konfrontacji” — cotygodniowej wkładki stanowiącej organ prasowy lubelskich studentów. Jednocześnie red. Lissowski pełni obowiązki redaktora ogólnopolskiego pisma studenckiego „Od Nowa”. Efektem tej dziennikarskiej aktywności była — w 1960 roku — pierwsza doroczna nagroda Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Lublinie „dla najlepszego publicysty-popularyzatora problematyki młodzieżowej”.

Zakończenie studiów, przeprowadzka do Kołobrzegu i podjęcie pracy dydaktycznej w Studium Nauczycielskim — nie sprzyjały pracy publicystycznej, współpracy z prasą. Sporadycznie Jerzy Lissowski wysyła korespondencje do fachowych czasopism pedagogicznych oraz „Trybuny Ludu”. Ale — jak to zazwyczaj bywa u ludzi „talentliwych” — pasja zwyciężyła i współpraca z Rozgłośnią Polskiego Radia w Koszalinie oraz „Głosem Koszalińskim” i miesięcznikiem „Pobrzeże” stała się coraz bardziej intensywna, wręcz codzienna. W artykułach przeważają tematy dotyczące kultury, zwłaszcza krytyki plastycznej.

Po przeprowadzce do Słupska w 1975 roku red. Lissowski dzieli swój czas na pracę w aparacie partyjnym i twórczość dziennikarską. Pisze w „Głosie Pomorza”, Tygodniku Słupskim „Zbliżeniach”, „Konfrontacjach” — tygodniku załóg PZPS „Alka”, a także w „Życiu Muzycznym”, „Ziemi Gdańskiej”, „Sztandarze Młodych”, „Jantarze”, a ostatnio — „Gazecie Młodych”. Dziennikarska pasja zwyciężyła. Stąd — od 1978 roku — decyzja o stałym zatrudnieniu w „Głosie Pomorza”. Prezes RSW „Prasa — Książka — Ruch”, w uznaniu liczącego się dorobku (ok. 1000 publikacji dziennikarskich), zalicza kol. Lissowskiemu w poczet stażu zawodowego wiele lat owocnej pracy „korespondenckiej”.

Parę miesięcy temu Zarząd Krajowy ZMW przyznał red. Lissowskiemu pierwszą doroczną nagrodę dziennikarską tego Związku, zaś Zarząd Główny ZSMP uhonorował — Srebrnym Odznaczeniem im. Janka Krasickiego i odznaką honorową „Za zasługi dla ZSMP”.

Jako Dyżurny Redaktor WIK „Gryf”, w imieniu zespołu składam red. Lissowskiemu (jednocześnie urzędującemu społecznie wiceprezesowi ZG SSK „Pobrzeże”), życzenia wielu lat owocnej twórczości dziennikarskiej i pracy społecznej — w interesie naszego „Gryfa”, prasy i wszystkich Czytelników.

★ ★ ★

Sądzę, że będzie mi wybaczone, iż z powodu tak specjalnej okazji zaniechałem w tym stałym miejscu, co istotniejszych dywagacji nad uwagami Czytelników o grudniowym numerze „Gryfa” i o zawartości numeru niniejszego.

DYŻURNY

CZŁUCHOW

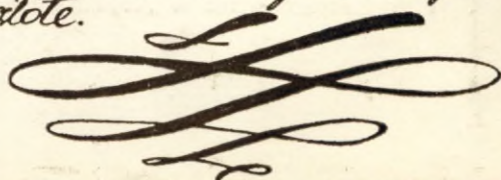


Łatuchowo, Łatuchów, Łatochów. Początek ma od prastarych osiadłych tu Słowian Pomorzan; podług ogólnego zdania istniał już za pomorskich księziąt ~ między r. 1187-1207

Przy mieście, na najwyższym wzgórzu znajdowało się stare pogańskie grodzisko Gromwałd. Od końca XIII w. posiadali łat. panowie Ponie. W r. 1317 ostatni słowiański posiadacz M. Ponie sprzedał łat. wraz z całą okolicą krzyżakom, którzy zbudowali tu zamek, drugi wielkością w państwie krzyżackim. Od 1377 do 1382, komturem w łat. był Konrad z Wallenrod, zaś ostatnim komturem Jan Rabe 1450-1454. Zaraz po wyparciu krzyżaków osiedlili Polacy na zamku w łat. starostów. Mijali innymi byli nim. Wicherowie - Jan † 1626, Melchior † 1643 i Jakób † 1657 - tenże fundował w pierwszej poł. XVII w. nowy kościół istniejący do dziś. Po śmierci Jakóba Wicherowicza część dóbr łat. starostwa łat. w dzierżawie dostała druga jego małżonka Anna Radziwiłłowa. Ok. 1660 r. starostami w łat. byli już Radziwiłłowie. Ostatnim znanym starostą człuchowskim jest Michał Kp. Radziwiłł smarłóg w r. 1762.

Jeśli idzie o herb miejski, jaki widzimy na najdawniejszej XIV-wiecznej pieczęci, jest to głowa wół profilem w prawostronbna, a kóło niej w otoku z napis majuskułq. T. CIVITATIS

SŁOCHAW. Niegdyś ta była używana aż do XVI wieku, gdyż znajdują się jeszcze wyśnięta na dokumentach z 1504 r. w Archiwum Gdańskim. Herb powyższy ma pewną analogię do herbu używanego przez łat. komturów krzyżackich. Znana jest bowiem pieczęć komtura z pierwszej połowy XIV w., która wyobraża całego wół, ale leżącego jakby na ziemi, z głową w tył - odwróconą i z krzyżem zachowanym nad grzbietem. Mimo to jest jednak rzeczą zastanawiającą, że bandera człuchowska zdobyta przez Polaków pod Grunwaldem w 1410 r. ma znowu inny herb na sobie. Młogosz - bawim, który ją przerysować - kazał, podaje baranka białego z chorągiewką i kielichem, do którego krew z niego spływała. Ponieważ i ten baranek ma odwróconą głowę i krzyż, jak wół na poprzedniej pieczęci, zachodzi pochybienie, czy Młogosz się przy padkiem nie pomylił i zamiast wół kazał zrobić baranka. Jednakże chorągiew nazywa Młogosz wyraźnie banderą komandorei i miasta Łatuchowa, a z pieczęci widzimy, że wół był herbem alla jednej i dla drugiego. K powyższego widzimy że herbem miasta była od XIV w. począwszy, głowa wół z profilem zaś barany heraldyczne nie mogą być takie, jakie przypominają Philipp, tj. biała głowa na tle niebieskim, ale takie jakie nosi w zasadzie bandera grunwaldzka, więc białe na czerwonym. Stąd biała głowa na tle czerwonym. Rogi zaś złote.





CZUCHÓW DWOREK

